Komedyjki dla młodocianego wieku

Szwykowska, Jadwiga (?-1854)

Adres URL obiektu
https://polona.pl/preview/c3ec4f0b-9f16-4440-8025-415d19181f8a
Data wygenerowania dokumentu pdf
01.02.2025

POLONA/

Informacje

Tytuł ujednolicony
Komedyjki dla młodocianego wieku
Autor
Szwykowska, Jadwiga (?-1854)
Adres wydawniczy
Warszawa : nakł. i dr. Józef Unger, 1872.
Data powstania dokumentu
1872-01-01
Język
polski
Sygnatura
I 481.936

Prawa do utworu
Domena Publiczna. Wolno zwielokrotniać, zmieniać i rozpowszechniać oraz wykonywać utwór, nawet w celach komercyjnych, bez konieczności pytania o zgodę. Wykorzystując utwór należy pamiętać o poszanowaniu autorskich praw osobistych Twórcy.
Źródło
Biblioteka Narodowa

KOMEDYJKI

DLA

MŁODOCIANEGO WIEKU

UŁOŻONE

przez

J. Z. N. Z.

WARSZAWA.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA JUNGRA

ulica Nowolipki Nr. 2406 (3).

1872.

Akt migracyjny w Rudzie t. 100
185. 2 Kriegsurkunden ostatni Kriegsurkunden
[illegible] z Wrzyc.

Г481.936

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001017623870

Дозволено Цензурою.

Варшава 1 (13) Октября 1871 г.

I 481,936

Hr. 23095

SMUTEK I POCIECHA.

OSOBY.

Wojciechowa, gospodyni wiejska.
Pałaszka, jéj córka, lat 10.
Stasiek, sąsiad z drugiéj chaty, lat 10.
Klemunia, córka właścicielki Zabłocia, lat 10.
Anielka, jéj siostra, lat 12.
Makryna, cyganka.
Tosia, jéj córka, lat 5.

Rzecz się dzieje we wsi Zabłociu, niedaleko Warszawy.

SCENA I.

(Teatr przedstawia dziedziniec porządny i chatę).

Pałaszka

(siedzi na zydelku, przędzie i śpiewa).

Posłała mnie matka
Na górę po jabłka,
A ja z góry na pazury,
Rozsypałam jabłka.

(mówi)

O mój Boże! ja tu śpiewam, jak gdyby nic złego na świecie nie było, a tu matula tacy smutni i niedająca się pocieszyć. Oj bieda! nasa bieda! Juz ja nie wiem doprawdy, co na tom poradzić. I modliłam się w Ciernia-

kowie, i dałam na Msę świętąm i nic nie pomaga.

SCENA II.

TAŻ SAMA — ANIELKA I KLEMUNIA
(ładnie obrane w kapeluszach pasterskich, z koszykami w ręku).

Anielka.

Dzień dobry Pałaszko!

Klemunia.

Przyszłyśmy dowiedzieć się o zdrowie twojéj matki.

Pałaszka.

Do nóg upadam wielmoznym Panienkom.
(wstaje z zydelka i wrzeciono kładzie przy kądzieli).

Anielka.

Jakże się ma twoja matka?

Pałaszka.

Ot schnie i schnie, i nicem nie dajem się pociesyć (wzdycha).

Anielka.

Miałyśmy nadzieję, że po ostatniéj rozmowie z naszą matką, która tak pięknie mówiła Wojciechowéj o zgadzaniu się z wolą Boga, o pokorze chrześcijańskiéj, o cierpliwości, matka twoja Pałaszko, nabierzé trochę siły i mocy duszy.

Klemunia.

Że weźmie się do pracy, a przy zajęciu i czynności, zapomni trochę o swojéj boleści.

Pałaszka.

I, moje kochane najdrozse pannulki, gdzieby tam miała zapomnieć, kiedy juz tsy latka będzie na św. Michał, da Bóg docekać, nasąm Hanulkę zły duch porwał na jarmarku w Sochacewie, i od téj pory matula ani razu się nie zaśmieli, ciągle płacąm i płacąm, az dziwo bieze z kiéj tyle łzów wystarca.

I, ani jeść, ani pić nie chcąm, jéno za prośbą moją serdecną.

Anielka.

Ale moja Pałaszko, jak też możesz takie rzeczy mówić, że to zły duch waszą Hanulę porwał!

Pałaszka.

A któżbyto był, jeżeli nie bies jaki?

Klemunia.

Mama nasza, która przecież tyle rzeczy zna, i tyle czyta, a mówi nam, że nie ma złych duchów, ale że to, co nazywają złym duchem, jest złością ludzką.

Pałaszka.

Moja najdrozsa pannulku, dobze to tak mówić, ale u nas na wsi wsyscy powtazają, ze to nic innego, jéno sprawka cartowska, albo jakie cary. Słysałam ja o carownicach wiele, wiele dziwów, to mi moja matka chzestna przysięgali

się, że widzieli jedną strasną jakby upiór co na łopacie w powietrzu jechała, jak gdyby jaka królowa w karecie. I mówiła moja chzestna, ze jak ją zobacyła, to tak się pselękła, zaledwo miała psytomność psezegnać się i powiedzieć: „Wselki duch Pana Boga chwali.“ I oto carownica wzasnęła na cały głos, i znikła w powietzu.

Anielka
(cicho do siostry).

Nie przekonamy Pałaszkę, bo zabobony i wiarą w czary, mocniejsze w niéj, niż wszystko, ale ty Klemuniu nie wierzysz spodziewam się temu, co jéj chrzestna matka prosta wieśniaczka plotła.

Klemunia
(cicho).

Moja Anulko, nie spodziewam się, abyś mnie sądziła takiém dzieckiem. Ale mimo woli przejmuje jakiś strach, słysząc te bajki.

Anielka
(cicho).

To też nie trzeba ci słuchać. (głośno). Matka nasza przysłała nas, aby waszéj matuli wręczyć te zapasy, które mają jéj zwątlone siły wzmocnić. Oto w tym koszyku bułka, rosół w kamionce i wina trochę w butelce.

Klemuńa.

A w moim koszyku spirytus balsamiczny do smarowania ciała i maść na piersi. Ale szczególnie mama nam zalecała, aby Wojciechowéj powtórzyć jéj słowa, które najlepszém będą lekarstwem, jeżeli ci uwierzy, jeżeli się niemi przejmie, te słowa są te, które jeden nieszczęśliwy powiedział, a które są w Piśmie Świętém umieszczone: „Bóg dał, Bóg odjął, niech Jego wola się staje.“

Anielka.

I do tych słów mama dodała: „Pan Bóg zasmucił, Pan Bóg pocieszy.“

Pałaszka.

Ach moje pannulki, cy to w Warsiawie tak pięknie mówić was naucyli?

Anielka.

Nie moja Pałaszko, w Warszawie na pensyi nie mieliśmy dobréj naszéj matki, tylko niekiedy wolno nam było ją widzieć. To téż te trzy lata bardzo smutno spędziłyśmy.

Klemunia.

I praca i nauka były jedyną naszą rozrywką.

Anielka.

Ale teraz mama nam obiecała, że jakie parę lat przepędzimy z nią razem w Zabłociu, aby się przyuczyć gospodarstwa i innych rzeczy pożytecznych.

Klemunia.

O! ja wiem, że przy mamie więcéj skorzystamy, jak na pensyi, bo nauczymy się być podobne do naszéj kochanéj

BIBLIOTEKA NARODOWA

mamy, a przyznam się, że wolałabym wcale nie grać na fortepianie i nie umieć po francuzku, a być tak jak mama pobożną, czułą i od wszystkich błogosławioną.

Anielka.

O! i ja toż samo.

Pałaszka.

Jak też cała gromada sięm ciesyła, ze nasa pani i panienki wróciły. A to az smutno było patzyć na pałac, zawse pusty przez tetsy lata! O! a jak ja Bogu dziękuję, ze psyprowadził kochane państwo do domu, moze za ich łaską matula mi wydobzejąm.

Anielka.

Chodź Klemuniu do chaty; nasze odwiedziny uradują Wojciechowę, i choć na chwilę ją rozweselą.

Klemunia.

A słowa mamy może ją pocieszą.

Pałaszka.

Pseprasam pannulki, ze tak niepozą-
dnie w komoze.

Anielka.

Nic nie szkodzi (wchodzą do chaty).

SCENA III.

Pałaszka

(sama).

Musę tu upoządkować i nakryć stoli-
cek, te Pannulki moze śmietanę z chle-
bem zechcą przekąsić (zmiata skrzydłém gę-
sióm zydelek, kądziel w kącie).

SCENA IV.

PAŁASZKA i STASIEK

(wbiegając).

Stasiek

(śpiewa).

Danaz moja dana,
Pałasko kochana.

Pałaszka.

To ty Stachu! Jak się macie!

Stasiek.

A wasa Matula?

Pałaszka.

Lepiéj z łaski Boga; to jest, moze Bóg da, ze będzie lepiéj.

Stasiek

I będzie dobrze zobacycie.

(Pałaszka wychodzi do komory, i wraca z obruskiem i miską śmietany).

Stasiek.

A to dla kogo? Dla mnie?

Pałaszka.

Nie mój Stachu, ale i tobie się dostanie, tylko pocekaj cierpliwie.

Stasiek.

A któż to będzie tę wieczerzę zajadał?

Pałaszka.

Nie powiem. (Nakrywa stół i miskę stawia).

Stasiek.

Dla cego?

Pałaszka.

A bo tak.

Stasiek.

A kiedy ja prosę.

Pałaszka.

Zgadnijcie.

Stasiek

(skrobie się w głowę).

Oj, kiedy ja nigdy nic zgadnąć nie umiem.

Pałaszka.

Oto powiem ci, ale mój Stachu zróbcie mi małą gzecność, pójdźcie do olsyny i pzynieście mi trochę ozechów na wiecezę, to juz wam powiem dla kogo ją pzyządzam.

Stasiek.

Biegnę i w mgnieniu oka wrócę.

(odchodzi).

SCENA V.

PAŁASZKA, ANIELKA, KLEMUNIA
(z próżnemi koszami).

Anielka.

Bądź nam zdrowa Pałaszko!

Pałaszka.

O! moje złociste Pannulki, prosę śmietany trochę przekąsić z chlebem.

Anielka.

Klemunia siadaj! Dziękujemy ci Pałaszko, (siadają).

Klemunia
(jedząc śmietanę).

Wyborna!

Anielka.

A chléb jaki piękny!

Klemunia.

Doskonale wypieczony.

Pałaszka.

Pójdę i psyniosę jesce Pannulkom sér

wyśmienity z kminkiem mojéj własnéj roboty.

Anielka.

I, nie trudź się moja Pałaszko.

Pałaszka.

Kiedy to dla mnie takie scęście, cała wieś mi będzie zazdrościć.

Klemunia.

Idź, idź Pałaszko. (do siostry) Trudno lepszém sercem częstować.

Anielka.

A ja dawno, nic równie smacznego nie jadłam. (Pałaszka wychodzi do chaty).

SCENA VI.

ANIELKA, KLEMUNIA, STASIEK.

Stasiek

(wbiegając z garnuszkiem orzechów śpiewa).

Podkówecki dajcie wognia,

Bo dziewcyna tego godna,
Oj, cy godna, cy nie godna,
Podkówecki dajcie wognia.

(Spostrzega Anielkę i Klemunię, i zatrzymuje się zawstydzony, i głowę spuszcza).

Anielka
(do siostry).

Zawstydził się nas.

Klemunia.

To syn starego Bartłomieja.

Stasiek

Oj! z pseproseniem Wielmoznych Panienek, ale nie spostzegłem... (na stronie). Dałem ze sobie, nawazyłem dobrego piwa, toz to panny z pałacu, a licho ze wiedziało, ze one tu.... (kłania się nizko). Oto ozechy, które nazbierałem na wieczęzę Wielmoznych Pannulów. (stawia garnuszek z orzechami na stole).

Anielka.

Dziękujemy ci mój kochany.

SCENA VII.

PAŁASZKA (z sérem wchodzi).

Pałaszka.

Oto Pannulki skostująm. A! Stachu grackoś się sprawił (cicho do niego). Za to w nagrodę, dam ci życzki kawałek.

Stasiek.

Oj! zebym ja był wiedział, kogo ja tu znajdę! byłabyś mnie widziała!

Pałaszka.

Dla cego?

Stasiek.

I jesce się pytas?

Anielka.

Co on mówi?

Stasiek.

I to nie, to tak sobie nic.

Pałaszka.

Musę te ozechy psyprawić z miodem.

Anielka.

Ale moja Pałaszko! na co to się zdało, już nam się jeść niechce.

Klemunia.

Już jesteśmy nasycone wyborną śmietaną.

Pałaszka.

Moje jedyne, złote Pannulki, to dla mnie takie scęście im usłużyć. (Kłania się im nizko). Jak słowo wymówić, wrócę z miodem i ozechami.

Anielka.

Ale śpiesz się, bo już nam czas do domu wracać.

Kłemunia.

Mama się niespodziewa, jaki tu nas bankiet czekał.

Pałaszka.

A ja taka scęśliwa, ze Panienkom mogę usłuzyć. (Chce odchodzić).

Stasiek

(Pałaszkę zatrzymuje).

Pałaszko, nie odchodź dla Boga, cóż ja tu sam z tém Państwem zostanę? Jak gawron jaki?

Pałaszka.

To chodź mi pomóz tłuc ozechy.

Stasiek.

O, idę! idę!

Anielka.

Co on mówi?

Stasiek.

I to nic, to tak sobie nic, (Kłania się, czapkę do nóg zniżając Anielki) z pseproseniem Pannulki pójdę pomagać Pałasce.

Anielka.

Idź, idź, mój chłopcze.

(Pałaszka z Stachem odchodzą).

SCENA VIII.

ANIELKA i KLEMUNIA.

Klemunia.

Biédny, kontent, że ma powód oddalenia się ztąd. Zdaje mi się, że się nas boi serdecznie.

Anielka.

Nie boi się może, ale nie wiedząc jak nas zabawić, i co z sobą zrobić czuje się upokorzony.

Klemunia.

Pałaszka go uspokoi i powie mu zapewne, że my nie straszne.

Anielka.

Klemuniu! czy czujesz tak jak ja, pewną radość w sercu, którą tak rzadko doznawać można, a którą nie umiem nawet jak nazwać.

Klemunia.

O czuję ją zupełnie. Jest to uciecha serca widząc żeśmy z łaski Mamy, choć w części dobry uczynek wykonały, chcąc uspokoić biédną Wojciechowę.

Anielka.

Jak to miło w czémkolwiek być użyteczną nieszczęśliwym i cierpiącym, i tak chociaż nasze usiłowania nie odejmą może ani choroby ciała, ani cierpienia serca Wojciechowéj; jednak widząc naszą życzliwość dla niéj i dobroć Mamy, już jak sama nam to powiedziała dzisiaj, czuję jakąś ulgę w strapieniu.

Klemunia.

To jest kropla słodyczy w gorżkim napoju.

Anielka.

Tak, ale i to coś znaczy.

Klemunia.

Córka jéj Pałaszka, jest doprawdy wzorem gościnności!

Anielka.

Radość jéj, widząc mój apetyt, nie wyjdzie mi z pamięci. I przyznam ci się, że wolałabym była narazić się na niestrawność, jak pozbawić ją uciechy, jaką jéj sprawiłam, zajadając jéj wieczerzę ze smakiem.

Klemunia.

A i ja żałowałam, że nie mogłam jeść za czterech.

Anielka.

Ty jednakże nie możesz się jak zwykle żalić na brak apetytu (śmieje się).

Klemunia.

A widzisz, że i to jest talent, któren się czasem na coś przydać może; bo nie

raz silimy się, aby zrobić komuś przyjemność zagraniem pięknéj sonaty, albo ładnéj fantazyi, i ten ktoś ani uważa naszéj muzyki; tymczasem w gościnnym domu, jak np. tutaj u Pałaszki, dobry apetyt najżywszą radość sprawić może.

Anielka

(żartobliwie ale łagodnie).

Prawda, utrzymuj teraz, że twój talent gastronomiczny jest spowodowany miłością bliźniego.

Klemunia.

Czemu nie? Lubię go i pragnę go w sobie przechować; kiedy może komuś zrobić przyjemność. Przyznam ci się Anielko, że podług mnie talenta są dla tego szczególnie drogim darem nieba, że niemi bliźnim naszym, możemy przyjemność zrobić.

Amielka.

Wiem, że masz serce złote.

SCENA IX.

TEŻ SAME I CYGANKA MAKRYNA.

(Cyganka prowadzi za sobą pięcioletnią Tosię).

Moja Pani Gospodyni,
Daj kawałek okrasiny,
Będziesz miała synka Marcinka,
Z oczkami czarnemi,
Z włoskami złotemi.

* * *

Moja Pani Gospodyni,
Daj kawałek okrasiny,
Twoje usta koralowe,
Twoje ząbki perłowe,
Moja Pani Gospodyni,
Daj kawałek okrasiny.

Może to powróżyć, to Cyganka Makryna, umié i wszystko przepowiedzieć,

co jest i było i będzie; Wielmożne Panienki, niech mi podadzą swoje złociste rączki.

Anielka.

Dziękujemy ci moja kochana, ale nie jesteśmy ciekawe.

Klemunia
(do siostry).

Wiesz, że nie mogę patrzeć na tę Cygankę, wygląda zupełnie jak ta czarownica, o któréj nam Pałaszka dziś opowiadała.

Anielka
(śmiejąc się).

Tylko niech twoja wyobraźnia przedstawi ją sobie jeszcze siedzącą na łopacie i unoszącą się w powietrzu.

Klemunia.

A do prawdy, nie można być więcéj podobną do owéj czarownicy.

Anielka.

Czyż ją widziałaś?

Klemunia.

Nie, ale taką sobie wyobrażam.

Anielka

(wskazując na Tosię.)

Czy to twoja córeczka?

Makryna.

Moja, złocista panienko.

Anielka.

A wieleż ma lat?

Makryna.

Piąty skończy na św. Marcin.

Anielka.

Ale jaka biała!

Klemunia.

I takie ma jasne włoski.

Makryna.

To już ona się taka wyrodziła, proszę wielmożnych panienek.

Anielka.

A mąż twój jak się nazywa?

Makryna.

Rypało, wielmożna panienko, a ja sama córka Morygi. Może potańczyć i zaśpiewać naszą cygańską piosneczkę.

(śpiewa)

A za nami zawsze nędza,
Od wsi do wsi nas popędza,
Choć głodno i chłodno,
Ale życiu swobodno.

Anielka.

A twoja córeczka nie umie tańczyć?

Makryna.

Jeszcze ona mała i nienauczona, no, ukłońże się panienkom i proś o starzyznę mizeroto.

Tosia.

Hi, hi, hi (płacze).

Anielka.

Biédne dziecię!

Klemunia.

Przyjdź do dworu, to ci co podarujemy.

Makryna.

No, podziękujże wielmożnym Panienkom mizeroto.

Tosia.

Hi, hi, hi, (płacze).

Makryna.

Głupie to jeszcze i nic dziwnego, głodne, nagie, to i głupie.

Anielka.

Biédactwo!

SCENA X.

CIŻ SAMI, WOJCIECHOWA, PAŁASZKA I STASIEK (z miską miodu).

Wojciechowa

(blada i osłabiona chwiejącym krokiem wychodzi z chaty)

Chciałam raz jeszcze ucałować wasze nóżki wielmożne Paniątka, i raz jeszcze was zobaczyć moje anioły, może to już raz ostatni, bo kto wié, co zemną będzie?

Makryna.

Moja pani gospodyni,
Daj kawałek okrasiny.

Wojciechowa.

O Nieba! Hanulka! moja Hanulka!

(bieży do Tosi).

Anielka.

Co jéj się stało?

Klemunia.

Wojciechowa! co mówisz?

Pałaszka.

Matulu! matulu!

Wojciechowa

(tuląc Tosię do siebie i łkając od płaczu).

O Boże! Boże! dzięki Ci! moje dziecko!

(klęka do modlitwy i tuli dzieci do siebie).

Anielka.

To Hanulka!

Wojciechowa.

To ona, to moja jaskółeczka, moje gniazdeczko, mój kwiateczek. Patrzcie, patrzcie, tu musi być znak na piersiach. (roztwiera koszulkę Hanulki) Tak, tak, to ten sam, to znak urodzenia, nakształt krzyżyka czarnego, to ona, to moja Hanula! Hanulu! czy poznajesz swoją matkę?

Tosia

(czyli Hanulka).

Nie, nie.

Makryna.

A co, czy twoja, czy nie twoja?

(śmieje się).

Wojciechowa.

A juści że moja, bo mi ją na jarmarku w Sochaczewie musiałaś ukraść stara czarownico!

Makryna.

Ukraść, ukraść, co za słowo!

Wojciechowa.

Ale unieść, zabrać, już nie wiem, jak. Pamiętam jak dziś, byłam na jarmarku z moim człowiekiem i oto z tą małą Pałaszką, mój człowiek targował konia, a moją Hanulkę śpiącą do wózka włożyłam, i tylko o dwa kroki z Pałaszką poszłam targować do żydówki paciorki, kiedy wróciwszy, szukam moją Hanulkę, która wtenczas miała dwa lata i nie znajduję ją w wózku. Myślałam że ją

mój człowiek wziął, aby jéj obwarzanka kupić. Idę do niego, pytam się o Hanulkę... Nie widział jéj... O Boże! moja rozpacz, trudna do opisania, wołam, szukam, nie ma, i nie ma, i nawet nikt nie widział! Serce mi się ścisnęło okropném przeczuciem i zgadłam, że ją jakieś złe porwało. Taka śliczna była już wtenczas, takem ją była ustroiła w koszulkę białą, w fartuszek niebieski! Zaraz domyśliłam się, że mi ktoś dziecię urzekł, że jakieś złe oczy na nią spojrzały! Moja Hanulu, co ja po tobie wytęschniłam, wypłakałam. Już nawet ta dziewucha (wskazuje na Pałaszkę): nie była mi miłą! ani mój człowiek poczciwy, ani nic na świecie!... Hanulu! co to za szczęście będzie, jak twój ojciec powróci z miasta, i ciebie zobaczy. Czy pamiętasz Tatulka?

Hanulka.

Nie, nie.

Wojciechowa.

Moja Pocieszko kochana, już ja ciebie teraz ani na chwilę nie odstąpię, będę cię pilnować jak oka w głowie. O! Boże! dzięki Ci, dzięki Ci, żeś mi ją wrócił!

(klęka trzymając w objęciach dziecię).

Anielka

(do Makryny).

Nie możesz się wypierać, i radzę ci, przyznaj się, że to dziecko nie twoje, Matka nasza opiekuje się troskliwie Wojciechową, która jeszcze przed zamężciem, długo, bo prawie od dzieciństwa służyła u rodziców mojéj matki, za pokojówkę. Uprzedzam cię więc, że sama dziedziczka téj wsi, troskliwie się zajmie całą tą przygodą.

Makryna.

No, nie ma co gadać, juści to dziecko nie moje, wzięłam je śpiące z woza, ale

nie ukradłam. Broń Boże! to się po mnie nie pokaże.

Anielka.

Twoje wyznanie rozbraja mnie. Inaczéj mogłabyś była ciężko opłacić tę zbrodnię. Idź, i dziękuj Bogu, że ci pozwolił oddać to dziecię matce; szczerym żalem możesz jeszcze przebłagać Niebo, i łzami skruchy wyjednać sobie przebaczenie Boga; ale sumienie powinno ci do śmierci wyrzucać rozpacz i łzy téj biédnéj matki! (wskazuje na Wojciechową).

Makryna

(do nóg Anielce pada).

O! moja panienko, już ja tego żałuję!

Anielka

(do Wojciechowéj).

Wojciechowa! przebaczasz jéj twą boleść tak długą?

Wojciechowa.

Przebaczam i niech tak Bóg jéj przebaczy.

Makryna.

Dziękuję za dobre słowo. Bywajcie zdrowi. (do Hanulki) I ty dziecino bądź zdrowa, byłabym cię kochała jak matka rodzona; ale kiedy własną znalazłoś....

Anielka.

Nie straciła na tém.

(Cyganka odchodzi).

SCENA XI.

CIŻ SAMI BEZ CYGANKI.

Anielka.

Bądź zdrowa Wojciechowo!

Klemunia.

Bądź zdrowa moja poczciwa!

Wojciechowa.

Niech Bóg was kocha moje anioły,

wyście mi uprosiły moją radość i pociechę. Patrzcie moje Pannulki, jaka ona piękna moja Hanulka, jak wyrosła, jak wyładniała.

Pałaszka.

O Matulu! Matulu! jakzem ja scęśliwa! juz Hanulkę dopilnujemy teraz.

(Całuje Hanulkę).

Anielka

(do Wojciechowéj).

Bóg ci ją dał, Bóg ci ją odjął, Bóg ci ją wraca!

Klemunia.

Bóg zasmuca, Bóg pociesza, jak mówi Mama.

Wojciechowa.

O! święte jéj słowa! Niech Bogu i w smutku i w radości zawsze będzie Chwała!

(Kurtyna zapada).

KONIEC.

ZUPA MIGDAŁOWA.

OSOBY.

Pani Z.

Nisia, jéj córka, lat 7.

Leoś, jéj brat cioteczny, lat 8.

Pani Śpiżarczyńska, klucznica.

Rzecz dzieje się u pani T.

Teatr przedstawia pokój dziecinny naukowy, stoliczek kątny w jednym rogu pokoju.

SCENA I.

Nisia (sama)

(kołysze lalkę i śpiewa).

Spadł z pieca gołąbek,
Stłukł sobie żołądek,
La la la la lalusiu,
Śpijże moja lalusiu.
Spadł z pieca, nie gruchał,
Jadł kaszkę, nie dmuchał.
La la la la lalusiu,
Śpijże moja lalusiu.

SCENA II.

TAŻ SAMA i PANI T.

Pani T.

(z wazą porcelanową, którą stawia na stoliku rogowym).

I cóż, moja Nisiu, bawisz się z lalką widzę, a lekcya gdzieś poszła sobie na spacer.

Nisia

(zawstydzona).

Nie, mamo, ale, ale...

Pani T.

Wiesz moja Nisiu, że nie lubię tych twoich a l e, czemuż lepiéj nie powiedzieć szczerze: „Mamo, prawda, że bardzo leniwa ze mnie dziewczynka.“ Kto się przyznaje do winy, już połowę swojéj winy zmniejsza. Wiesz o tém Nisiu?

Nisia.

Wiem mamo.

Pani T.

No, moje dziecko, połóż swoją lalkę, która ma być już nareszcie uśpioną. mając tak dobrą niańkę.

Nisia.

Nie, moja Mamo, ja nie jestem jéj niańką, jestem jéj matką.

Pani T.

Niech i tak będzie, połóż więc swoją córkę moja Nisiu, i weź się do lekcyi. Oto tabliczka Pitagoresa i Geografia, której dziś trzeba trochę się nauczyć. Miasta stołeczne w Europie, powtórzysz sobie, i te, których cię wczoraj nauczyłam, pokażesz mi na karcie.

Nisia.

Dobrze mamo. (Idzie do stolika, na środku pokoju będącego).

Pani T.

Ale moja Nisiu, ja mam pilny inte-

res w mieście, wyjdę więc na godzinkę, spodziewam się, że jak wrócę, będziesz swoją lekcyę umiała.

Nisia.

Tak, mamo.

Pani T.

Jeżeli Śpiżarczyńska będzie przechodzić tędy, to powiedz jéj, żeby tę wazę z zupą migdałową schowała do apteczki.

Nisia.

A! to zupa migdałowa?

Pani T.

Tak; wszakże to dziś Wigilia Bożego Narodzenia. Czyż zapomniałaś o tém Nisiu?

Nisia.

O! nie, mamo!

Pani T.

Sama tę zupę przyrządziłam, i wie-

działam zawczasu komu będzie najlepiéj smakować. (Śmieje się i głaszcze Nisię pod brodę). Jak urośniesz Nisiu, będziesz mi pomagać w domowych i gospodarskich zatrudnieniach. Będziesz ze mn chodzić do kuchni, tam będziemy piec ciasta rozmaite, przyrządzać przysmaczki dla Taty, konfitury smażyć. A jak Bóg da, że będziesz na własnem gospodarstwie, że pójdziesz za mąż, to potrafisz mężowi się przysłużyć swoją umiejętnością kucharską, i gospodarstwo twoje będzie może wzorowe! Jaka to dla mnie będzie pociecha.

Nisia.

O! tak mamo! Jak pójdę za mąż, to nie wylézę z kuchni od rana do wieczora, będę w niéj siedzieć, i memu mężowi i dzieciom będę zawsze własną ręką śniadania, kolacye i obiady gotować.

Pani T.

A tymczasem mój Aniołku, naucz się swojéj tabliczki Pitagoresa i Geografii i niezapomnij Pani Śpiżarczyńskiéj powiedzieć odemnie, żeby zaniosła tę wazę z zupą migdałową do apteczki.

Nisia.

Dobrze mamo. A gdzie Pani Śpiżarczyńska?

Pani T.

Zajęta jest w téj chwili, ale niebawem zapewne nadejdzie. Bądź zdrowa Nisiu, wracam za godzinę. (Całuje ją).

Nisia.

Będę czekać na mamę niecierpliwie.

SCENA III.

Nisia (sama)
(uczy się lekcyi).

Dwa razy dwa: cztery, dwa razy trzy: sześć; dwa razy dwa: cztery, dwa razy

trzy: sześć; ah! jaka ona musi bydź smaczna ta zupa migdałowa! (idzie do stoliczka i zagląda w wazę). Ah! jaka smaczna! (poruszając łyżkę wazową) Ile rodzenków! ile ryżu! Ciekawa téż jestem, czy słodka? Czy Mama dosyć cukru włożyła? (wraca do stolika na środku pokoju). Dwa razy dwa: sześć, dwa razy trzy: pięć, dwa razy dwa: trzy, dwa razy trzy: pięć. Ah! jakże szczęśliwa jestem, że to dziś Wigilia Bożego Narodzenia! To najprzyjemniejszy dzień w całym roku. Będziemy mieli drzewko ładne! I ta wieczerza taka smaczna! Poproszę pani Śpiżarczyńskiéj, żeby mi dała cały talerz, cały talerz pełen! Dwa razy dwa: siedm, dwa razy trzy: dziewięć, dwa razy dwa: siedm. — Ah! nudzi mnie ta tabliczka, wolę najprzód geografię moją powtórzyć. Stolica Francyi: Paryż; stolica Anglii: Londyn; Austryi: Wiedeń. Cze-

mu też to mój brat cioteczny, Leoś nie przychodzi. Wszak i ciocia i on, dziś mają być u nas na wieczerzy. A Leoś miał jeszcze z rana przynieść mi gwiazdkę, którą z opłatków miał zrobić, z opłatków kolorowych! Stolica Francyi: Rzym, stolica Anglii: Paryż, stolica Austryi: Londyn. Ah! jak mnie nudzi ta geografia!

SCENA IV.

NISIA, LEOŚ.

Leoś.

A! dobry dzień Nisiu!

Nisia.

Leoś! co za szczęście!

Leoś.

Cóż robisz?

Nisia.

Uczę się lekcyi.

Leoś
(krzywiąc się).

Lekcyi, fe!

Nisia.

Ale już ją umiem prawie.

Leoś.

Wszakto doczekaliśmy téj kochanéj Wigilii. Co to za wesoły dzień, prawda Nisiu?

Nisia.

O! prawda.

Leoś.

Mamy dziś do was przyjść na wieczerzę. Byłem u wujaszka. Co tam za ruch! Migdały tłuką w moździerzu, cukier przewiewają przez rzeszoto, rodzenki płuczą; wujenka zajęta i skłopotana, bo placki jéj się nie udały; a u was, czy robią już jakie przygotowania?

Nisia.

Właśnie mama zupę migdałową przyrządziła. (wskazuje na wazę.)

Leoś.

A! zupa migdałowa. (idzie do stolika, zagląda w wazę).

Nisia.

Mama kazała mi, abym pani Śpiżarczyńskiéj powiedziała, żeby ją ztąd zabrała i zamknęła do śpiżarni.

Leoś
(krzywiąc się).

Oho!

Nisia.

To lepiéj, bo przyznam ci się, że mi ta zupa robi małą pokusę.

Leoś.

A czy dobra? czy smaczna?

Nisia.

Nie wiem.

Leoś.

Jakto! Nie kosztowałaś téj zupy?

Nisia.

Nie.

Leoś.

A! to nie może być!

Nisia.

Wierzaj mi Leosiu.

Leoś.

No, to nim wyniosą tę wazę, trzeba skosztować choć trochę.

Nisia.

Ej! Leosiu. Nie wiem, czy to dobrze będzie!

Leoś.

Co to szkodzi!

Nisia.

Bo ja się boję!

Leoś.

Ale tylko trochę, trochę. (kosztuje zupę)
A wiész Nisiu! wyśmienita! wyborna!

Nisia.

Doprawdy?

Leoś.

Zobacz. (podaje jéj łyżkę).

Nisia
(kosztuje).

Prawda!

Leoś.

Tylko zdaje mi się, że coś brakuje, ale nie wiem co?

Nisia.

I ja nie wiem.

Leoś
(kosztuje znowu).

Czy nie za wiele migdałów, jak myślisz Nisiu?

Nisia.

Tak, tak, być może. (kosztuje).

Leoś.

Ah! rodzenki wyborne! nigdy takich smacznych nie jadłem. (bierze znowu łyżkę).

Nisia.

Ale mój Leosiu, ty coś bardzo kosztujesz.

Leoś.

Oto wiesz co? zupy już nie będę jadł, ale rodzenki możemy sobie wyłowić; niewielka będzie szkoda!

Nisia.

Mój Leosiu!

Leoś.

Bierz ze mnie przykład, widzisz jak ja ci zajadam. (bierze znowu łyżkę).

Nisia

(kosztuje).

Prawda, że smaczne.

Leoś.

A rodzenki zawsze dzieciom się dostają. A więc niewielka szkoda, że zamiast wieczorem, zrana je zjemy. Wszak one były dla nas. (zajada kilka łyżek rodzenków samych).

Nisia.

Ah! jak ty umiesz je łowić. (bierze łyżkę).

Leoś.

Daj, ja tobie znajdę najpiękniejsze i największe rodzenki. (daje jéj kilka rodzenków).

Nisia.

Wyborne! (zajada).

Leoś.

Oddaj mi teraz łyżkę. (bierze ją od Nisi).
A wiesz Nisiu, że już ich prawie niema.

Nisia.

Zowtawmy te kilka w wazie, Leosiu.

Leoś.

A to na co? kiedy wszystkie, to wszystkie, (zajada sam kilka łyżek), Nisiu, tobie ostatni się dostanie. Masz, zjedz go.

Nisia
(jedząc rodzenek).

Ostatni rodzenek!

Leoś.

Tak sprawiedliwość każe: ja najpierwszy zjadłem, ty Nisiu ostatni. Nie mamy sobie nic do wyrzucenia.

Nisia.

Oj! Leosiu, to niedobrze, cośmy zrobili. Mama się będzie gniewała na mnie.

Leoś.

Ej! gdzie tam, ani się obejrzy. Trzeba tylko, abyś kazała zaraz tę wazę schować, bo inaczéj moglibyśmy się poku-

sić do zjedzenia trochę téj zupy. A wtenczas dopiero byłoby źle!

Nisia.

Muszę pójść po panią Spiżarczyńską.

Leoś.

I ja z tobą idę.

(wychodzą jednemi drzwiami).

SCENA V.

PANI ŚPIŻARCZYŃSKA (drugiemi drzwiami wchodzi).

Pani Śpiżarczyńska.

No, już dziś, to po uszy roboty. Ale jakoś wszystko się udaje, szczupak z sosem szafranowym będzie paradował na stole. Zdziwią się goście niemało, widząc tak piękną sztukę teraz, gdzie taki w Warszawie natłok kupujących, gdzie każdy stara się o najpiękniejsze ryby!

Ale, ale, ciekawa jestem, jak się pani mojéj zupa migdałowa udała. Oto stoi waza, zapewne to już z zupą. Biedna pani, niemało się kłopocze, spodziewając się miłych gości. Zwyczajnie, to honor gospodyni wymaga, aby wszystko było dobrze i porządnie, a szczególniéj smacznie przyrządzone. Już, co się tyczy tego, to moja w tem praca i troskliwość. (idzie do wazy i zagląda, kosztuje łyżką). A mój miły Boże, wszak to ani jednéj rodzenki! I pani nic mnie nie powiedziała, a tyle ma kłopotu dziś, że byłaby jeszcze zapomniała włożyć rodzenek. To byłoby dopiero wstydu! Prawdziwie łaska boska, że mnie téż przyszło na myśl zajrzéć do téj wazy. Szczęśliwy traf! właśnie pozostało mi rodzenek gotowiuteńkich, wypłukanych, talerz, jak raz, będzie do téj wazy. (idzie, i niebawem wraca z talerzem rodzenków). Oto będzie ilość

dostateczna. (sypie do wazy rodzenki . A teraz trzeba mi wracać do roboty. Jeszcze drzewko dzieciom ubrać. Ach! co ja mam na głowie, to Bogu tylko wiadomo! wychodzi temi samemi drzwiami).

SCENA VI.

NISIA I LEOŚ

(wchodzą drugiemi drzwiami).

Nisia.

Nigdzie jéj nie znalazłam.

Leoś.

To dziwna rzecz.

Nisia.

Może także na miasto wyszła.

Leoś.

Aby nie mieć pokusy, nie patrzajmy na tę wazę. Nisiu, może chcesz, to ja

cię zastawię krzesłem, zamiast parawana.

Nisia.

I, nie trzeba, ja nie będę patrzeć, już mi i tak serce boli, że dałam się namówić na zjedzenie tych rodzenków, kochaną mamę bardzoby to zasmuciło, gdyby o tém się dowiedziała. A ona tak dobra, słyszałeś Leosiu jak mi pokojówka mówiła, że sama drzewko dla mnie ubiera, i że poszła na miasto, aby coś jeszcze do niego dokupić. Oj! już jabym nie wiem co dała, gdybym tych rodzenków nie była zjadła.

Leoś.

Cóż robić? Już teraz po niewczasie, trzeba było wprzódy o tém myśleć. A teraz nic nie pozostaje, tylko się pocieszyć.

SCENA VII.

CIŻ SAMI i PANI T.

Pani T. (w kapeluszu i salopie).

I cóż Nisiu, czy ci się długim wydał czas mojéj niebytności. (spostrzega Leosia). A! Leoś! To już mam odpowiedź na moje zapytanie. Bawiliście się moje dzieci?

Leoś.

Tak ciociu, dzień dobry ciociu.

Pani T.

Dzień dobry ci mój kochany. Cieszę się, że ciebie dziś na wieczerzy będziemy mieli u siebie. A i ty Nisiu cieszysz się z tego. Nie prawdaż?

Nisia.

Tak mamo.

Pani T.

Kazałam, aby dużo sianka było pod

obrusem, bo wiem, że was to zawsze bardzo cieszy. Czy tak?

Leoś.

Tak ciociu.

Pani T.

Ale czy pamiętacie o tém, że to sianko dla tego się kładzie, ąbyśmy pamiętali, że nasz Zbawiciel Jezus Chrystus na sianku się urodził. Obchodząc pamiątkę Jego Narodzenia, ten zwyczaj na tę pamiatkę powstał, i dotąd się u nas przechowuje. Mając tyle zabaw i przyjemności, z powodu świąt Bożego Narodzenia, trzeba, żebyście pamiętały moje dzieci, że w sercu powinniśmy w te dnie żywszą jeszcze, niż zwykle czuć dla Boga wdzięczność i miłość, za cudowne odkupienie całego rodzaju ludzkiego. Wszak wiecie, że po grzechu pierwszych naszych rodziców Adama i Ewy, bylibyśmy na zawsze Niebo utracili, gdyby nie

tajemnica odkupienia, wywołana dobrocią i miłosierdziem Boga Wszechmocnego. Jakże wielbić trzeba Jego miłość dla nas, przez którą Syna swego jednorodzonego zesłał na ziemię naszą! Jakże trzeba kochać tego Chrystusa, który na sianku się urodził, i w żłóbeczku był położony w ubogiéj stajence, cierpiał zimno i ubóstwo dla nas grzesznych. Wiecie kochane dzieci, jak możemy się odwdzięczyć za taką miłość Boga dla nas, oto posłuszeństwem dla nauk Zbawiciela, oto postępowaniem drogą cnoty!

Nisia.

A Adam i Ewa, czy zostali odkupieni śmiercią Zbawiciela?

Pani T.

Bez wątpienia moja Nisiu, urodzenie i śmierć Chrystusa, były dostateczną dla odkupienia całéj ludzkości ofiarą. Ale

muszę was opuścić kochane dzieci. Czy kazałeś Nisiu schować zupę migdałową do apteczki?

Nisia.

(spuszcza głowę).

Nie mamo, oto stoi na stoliczku.

Pani T.

Muszę ją zabrać (idzie do stolika).

Leoś.

I, niech ciocia się nie fatuguje, ja poniosę.

Pani T.

Dziękuję ci mój Leosiu, zostań z Nisią.

Leoś.

Ale, bo ciocia upuści. Ja poniosę.

Pani T.

Tak mnie sądzisz niezgrabną? (podnosi rękę, aby odkryć wazę).

Leoś.

Co ciocia robi? Proszę nie odkrywać, proszę nie odkrywać.

Pani T.

A to dla czego?

Leoś.

Bo... bo... bo... tam coś strasznego!

Pani T.

I cóżby tam być miało?

Leoś.

Ah! moja ciociu! Potém cioci powiem, ale proszę nie odkrywać, bo ciocia pożałuje tego.

Pani T.
(odkrywając wazę).

Dla uspokojenia ciebie, przekonam się, (zagląda, i łyżką kosztuje). Chodź Leosiu, zobacz, jakie tu straszne! Ale muszę się wam przyznać, że was posądziłam o ła-

komstwo... z radością widzę, żem się omyliła. Ani jednéj nawet rodzenki nie brakuje.

Razem

Nisia.

Jak to?

Leoś.

Jak to? Co ciocia mówi?

Pani T.

Zupy tyle, ile zostawiłam, i rodzenki wszystkie.

Nisia i Leoś

(zbliżają się i zaglądają do wazy).

Prawda, prawda!

Nisia.

Ah! to chyba cud jakiś?

Leoś.

Cicho! cicho! (daje znak Nisi, aby milczała).

Nisia

Nie Leosiu; ja wszystko mamie po-

wiem, szczerością tylko możemy naszą winę zmazać.

Leoś.

Prawda, tyś lepsza odemnie, powiedz wszystko.

Nisia.

Mamo! mamo kochana! Myśmy zjedli rodzenki z téj wazy. Widzisz przed sobą mamo kochana Adama i Ewę; ale wszak sama mówisz, że Zbawiciel Adama i Ewę wykupił, to i nam także daruje.

Pani T.

Moje dzieci! Zbawiciel nauczył nas, że żal, szczerość i chęć poprawy, każdą winę mogą zetrzeć i zmazać. Widzę Nisiu, że żałujesz swego łakomstwa, i w nadziei poprawy przebaczam.

KONIEC.

MAJÓWKA.

OSOBY.

Rózia, lat 7.
Antosia, lat 9.
Zdzisławek, lat 11.
Zygmuś, lat 13.
} Dzieci hrabiego i hrabiny P.

Małdrzyk, kuchcik, lat 11.

Magdusia, córka praczki, lat 8.

Rzecz dzieje się u rodziców Zdzisława, Zygmusia, Rózi i Antosi w Warszawie.

SCENA I.

(Teatr przedstawia bogaty salon, pięknie umeblowany).

Zygmuś (sam).

Mnie tedy papa i mama, powierzyli dozór nad młodszem rodzeństwem, wszakżem ja najstarszy! W czasie lekcyi, to panna Witt, pan Kleks i pani Faustecka nas dozorują! Ale w czasie zabawy, Rózia, Antosia, Zdzisławek, mnie słuchać muszą; bezemnie nie byłoby żadnego porządku. I tak, dzisiaj umyśliłem dobrą, wyborną zabawę. Pojedziemy wszyscy z panną Witt i z panem

Kleks do Niewolina; tam będziemy mieli w ogrodzie majówkę. Już dzisiaj 25 maja, a oprócz Saskiego ogrodu, Łazienek i Marymontu, wcaleśmy nie użyli przechadzki, tą razą będzie to zupełnie wiejska przechadzka. Niewolin o milę od Warszawy, i tam tak cicho, tak pusto, rodzice nasi nigdy tam nie bawią, chociaż mają ładny i wygodny domek; moglibyśmy się wszyscy pomieścić. Tam, ani gwaru, ani ścisku ludzi nie widać wcale, ale natomiast groch, kartofle, kapusta. Pełno trawki, kwiatków; konie młode na łące się pasą, krowy, cielęta! Ah! jakże szczęśliwy jestem, że z tego miasta choć na parę godzin wyjadę, że się napatrzę na wiejskich mieszkańców. Weźmiemy dobre zapasy z sobą, aby się nam bardzo jeść nie chciało. A powietrze świeże zaostrza apetyt. Mama pozwoliła nam wziąć z sobą Małdrzyka,

kuchcika naszego. On nam i kurcząt upiecze i jaką inną potrawę przyrządzi. Trzeba tylko wcześnie mu zadysponować podwieczorek, aby mógł w Warszawie prowizye kupić, bo tam niczego nie dostanie. Ale gdzież są: Zdzisławek, Rózia, Antosia; trzeba, żeby i oni przyczynili się swojemi dochodami do naszego podwieczorka.

SCENA II.

RÓZIA, ANTOSIA, ZDZISŁAWEK, ZYGMUŚ.

Rózia.

Szukaliśmy ciebie wszędzie Zygmusiu, byliśmy nawet w ogródku naszym na dziedzińcu.

Zygmuś.

Nie mówcie mi o ogrodzie miejskim, to nie ogród, to parodya ogrodu. Na wsi to, na wsi można przechadzki zako-

sztować i biegać do woli, i płoty przełazić, i rowy przeskakiwać.

Antosia.

Ah! prawda mój Zygmusiu, i ja wieś bardzo lubię.

Zdzisławek.

Będziesz ją dziś miała, wszak nam mama i papa pozwolili sobie zrobić majówkę.

Rózia.

Już dwunasta godzina, wartoby się wybierać.

Zygmuś.

Nie tak śpiesznie dobrodziejko, trzeba wprzódy obmyślić podwieczorek i zadysponować go Małdrzykowi, którego z sobą weźmiemy.

Antosia.

Prawda, że ten Zygmuś o wszystkiém pamięta.

Zygmuś.

A najprzód, wiele macie pieniędzy w waszych woreczkach? Trzeba zrobić składkę, aby podwieczorek był suty i smaczny. Już wiem z góry, że Rózia wszystkie wydała, bo ona zawsze nazajutrzdzień po odebraniu od rodziców naszych miesięcznych summek, wszystko co do grosza wyda.

Rózia.

Bardzo przepraszam, i na dowód, że się mylisz, oto mój woreczek. (oddając go).

Zygmuś.

(zaglądając do worka).

Dwa złote, fiu! fiu! Moja Róziu, toś ty bogata jak Krezus.

Rózia.

Nie żartuj tylko, bo będę płakać.

Zygmyś.

A ty Antosiu, Zdzisławku, pokażcie wasze bogactwa.

Antosia.

Ja mam pół rubla.

Zdzisławek.

A ja mam pięć złotych.

Zygmuś.

Jak to? Antosia tak mało?

Antosia
(spuszczając oczy).

Wszystko wydałam już, prócz tych pieniędzy.

Zygmuś.

Dobrzeto mówi przyjaciel papy, że kobiety, to tak lubią wydawać, że umierając, jeszczeby wołały, widząc żydówkę z towarami: kupować! kupować! kupować! ah! kupować!

Antosia.

Już Zygmusiu powstajesz na kobiety, a takiś młody jeszcze, co to będzie jak urośniesz?

Zygmuś.

Nie obrażaj się siostrzyczko, wszak ja ciebie i Rózię kocham, chociażeście kobiety, a i mamę kocham także. Ale dajcie mi wasze pieniądze, zaraz zliczę wiele wszystkiego mieć będziemy na naszą majówkę (bierze pieniądze od dzieci, licząc głośno). Rózi dwa złote, a Antosi pół rubla; to pięć i groszy dziesięć. Zdzisławka pięć złotych i rubel mój, to siedemnaście złotych. Słyszycie! słyszycie! mamy siedmnaście złotych!

Zdzisławek.

Co to za to nakupimy smacznych rzeczy!

Zygmuś.

Przedewszystkiém, trzeba Małdrzyka zawołać.

Zdzisławek.

A to na co? Daj, ja pójdę, i co tylko ze-

chcecie, nakupuję, Mruczkowski będzie niósł moje pokupki, a razem targować mi pomoże, on się na tém zna lepiéj jak Małdrzyk, któren tylko talerze lizać umie.

Zygmuś.

Nie mów tak o Małdrzyku, Zdzisławie, zobaczysz co to za człowiek z niego będzie! przewyższy w swojéj sztuce naszego kucharza, pana Pateliniego.

Zdzisławek.

A ja wiem, że on nic dotąd nie umie, tylko próżnować i próżnować.

Zygmuś.

Zobaczymy, kazałem go uprzedzić, że z nami pojedzie na wieś. Widziałem jak się stroił i wyświeżał, zawołam go zaraz, i zobaczycie jaki już biegły w swojéj sztuce. (dzwoni, lokaj w liberyi ubrany, wchodzi) Proszę zawołać do mnie Małdrzyka. (lokaj wychodzi).

Antosia.

Ale nie mów z nim długo mój Zygmusiu, bo już czas się wybierać.

Zygmuś.

Trzeba tylko z nim się naradzić o podwieczorku, i pieniądze mu oddać.

Rózia.

Ale może on nas nie posłucha, bo co innego papa i mama, to pan i pani, a my dzieci jeszcze.

Zygmuś.

Co, dzieci? A ja już mam trzynasty rok, właśnie, onby śmiał nas nie posłuchać. Nie trzeba tylko z nim swywolić, ani żartować, tylko mu dysponować z powagą, tak jak papa panu Pateliniemu.

Zdzisławek.

Siadajmy lepiéj.

Zygmuś.

Dobrze, Antosia pomagać mi będzie.

(siadają wszyscy, Zygmuś na przodzie sceny, oparty ręką o stół, głowę ręką podpiera, z poważną miną).

SCENA III.

CIŻ SAMI I MAŁDRZYK (czysto ubrany, w szlafmycy białéj, nóż za pasem i fartuch biały).

Małdrzyk.

Jestem na rozkazy.

Zygmuś.

Dobrze Małdrzyku, znasz uszanowanie i posłuszeństwo. (cicho do rodzeństwa) Trzeba go ośmielić. (głośno) Jedziemy na majówkę, i ciebie bierzemy z sobą.

Małdrzyk
(kłania się nizko).

Zrobisz nam podwieczorek, ale musisz pokazać swoją umiejętność, i wystąpić, tak jak tylko możesz.

Małdrzyk
(śmiejąc się).

To już wiadomo.

Zygmuś.

Ale czy tylko potrafisz?

Małdrzyk
(z dumą).

Drugi rok praktykuję w kuchni pana Pateliniego.

Zygmuś.

Cóż nam dasz na podwieczorek?

Małdrzyk.

Co panicz każe.

Zygmuś.

Jak to? Czy to ja mam wymyślać potrawy? Nie widzisz, że pan Patelini, codzień przy śniadaniu przynosi papie i mamie cetel obiadu.

Małdrzyk
(zawstydzony).

Biegnę, aby ją napisać

Zygmuś.

Nie trzeba, zostań. Nie ma czasu do stracenia. Powiedz tylko, co możesz przyrządzić na dzisiejszy podwieczorek, a my, albo zaaprobujemy, albo odrzucimy twój projekt.

Małdrzyk.

Na pierwsze danie, może się zrobić zupa, Tertu, albo à la Rak*).

Zygmuś.

Co to za zupa? ja jéj nie znam.

Antosia.

Ale może byc bardzo dobra.

Rózia.

Tak, może być dobra.

*) Tortue i à la Reine.

Zdzisławek.

O! może być! może być! (śmieje się).

Zygmuś.

Zdzisiu! zapominasz naszéj umowy. (do Małdrzyka) Cóż więcéj?

Małdrzyk.

Potém sztuka mięsa napoleońska, albo per modum austryacka.

Zygmuś.

A co, widzicie? Czyż nie mówiłem, że on skorzystał wiele, i że z niego będzie człowiek! (do Małdrzyka). Cóż więcéj?

Małdrzyk

(z powagą, głosem i miną czupurną).

Szparagi! au ber d'un chat.

Zygmuś.

Co? Szparagi au beurre du chat.

Antosia.

To zapewne au beurre d'auchois.

Zygmuś.

Tak, tak, masz słuszność, to tak być musi. Ale mój Małdrzyku, my tylko siedmnaście złotych mamy, to szparagów nie kupimy, bo one bardzo drogie, a trzeba przecież i dessert jaki dać.

Małdrzyk.

Może się zrobić inna jarzyna.

Zygmuś.

Naprzykład?

Małdrrzyk

Kartofle à la kalafiory i marchew à la groszek.

Zygmus.

Dobrze, bardzo dobrze. Cóż wiecéj?

Małdrzyk.

Kurczęta à la kuropatwy, albo prosię à la sarna.

Zygmuś.

Wybornie. Jak on wprawny i wyexercytowany w sztuce kuchennéj.

Małdrzyk
(uradowany, poprawia szlafmycę).

Na leguminę możemy dać balinciki à la blamaże, albo per modum krem fate, lub téż bezkwity*).

Zdzisławek.

Co on tam tak ponazywał wiele potraw nieznajomych wcale.

Zygmuś.

On przejdzie Pateliniego, zobaczycie, to drugi Watel będzie.

Antosia.

Cóż dasz na dessert, mój panie Vatel.

*) Ma się znaczyć: blanc mangé, crème, fruiter biscuit.

Małdrzyk.

Małdrzyk, do usług panienki, a nie Vatel.

Zygmuś.

Nie wymawiaj się mój Małdrzyku, życzę ci, ażebyś był drugim Vatelem... Jakież nam dasz wety?

Małdrzyk.

Figi à la ananasy.

Zygmuś.

Brawo!

Antosia.

To formalny obiad.

Zygmuś.

Właśnie też tu nie będziemy obiadować, gdyż trzeba wyruszyć za pół godziny. Przecież mamy śniadanie, które zwykle bywa sute; idźmy zaspokoić pierwszy głód, a potém daléj w drogę. (słychać dzwonek). Małdrzyku! zapisz sobie

dla pamięci, to co masz kupić, bo po śniadaniu dostaniesz pieniądze. Chodźcie, już dzwonek w kuchni oznajmuje, że śniadanie gotowe, a panna Witt czekać nie lubi, a i pan Kleks ma waleczny apetyt.

Dzieci.

O! prawda! prawda! (śmiejąc, się wychodzą).

SCENA IV.

Małdrzyk (sam).

Jakoś udało mi się! wyskrobałem się, ah! dalipan, dusza już moja była na ramieniu; pierwszą w życiu mojém dyspozycyą musiałem przenieść. A to pan Zygmunt nie żarty, w gorącéj wodzie kąpany, oskarżyłby mnie przed panią hrabiną, i daliby mi abszyd, fora ze dwora. Cały los mój wziąłby inny kierunek. Bo gdzieżbym znalazł podobną

kuchnię, jak tę, w któréj pan Patelini rej wodzi i dyryguje. A jaka szkoda byłaby, gdyby sztuka kucharska nie posiadała mnie Małdrzyka w swojém łonie. Czuję, że pan Zygmunt dobrze mówi, że będzie ze mnie człowiek, wielki człowiek! Wszak ja już od dzieciństwa okazywałem wielką zdatność do kucharstwa. Zawsze mi się śniły rądle, garnki, miski, zawsze miałem popęd do zajęcia się tém rzemiosłem, w którém kiedyś pragnę słynąć. Bywało, z piasku robię potrawę, nalewam wodę, mięszam ją z mydłem, dodaję trochę, czego to?... już zapomniałem, ale mniejsza o to; słowem, zawsze miałem przeczucie, że będę tém, czém jestem. Prawda, że i mój ojciec był kucharzem, i ja w kuchni się urodziłem! Pierwsze przedmioty, na które oczy moje zwróciłem, przyszedłszy na świat, były to półmiski, warzą-

chwie, (wzdycha). wam zawsze zostanę wierny; półmisek, warząchew, to mój świat!

SCENA V.

ZYGMUŚ, RÓZIA, ZDZISŁAWEK i MAŁDRZYK.

Zygmuś.

No, już po śniadaniu! A ty Małdrzyku jeszcze tu stoisz; czy już zrobiłeś notatkę pokupek potrzebnych?

Małdrzyk.

Nie jeszcze, ale w domu znajdzie się wiele rzeczy, których kupować nie będzie potrzeby. Natomiast oszczędzi się trochę pieniędzy na przysmaczki, ciastka, cukierki, pierniki, bakalie.

Zygmuś.

Prawda, prawda, bo i po obiedzie zechcemy podwieczorka słodkiego.

Zdzisławek.

Tak, właśnie dla tego majówka nazywa się majówką, że ten spacer jest upiększony i osłodzony przysmaczkami.

Małdrzyk.

Idę, i wracam z notatką.

Zygmuś.

Idź mój chłopcze.

Zdzisławek.

Idź mój Watelu.

Małdrzyk (odchodzi).

SCENA VI.

CIŻ SAMI i ANTOSIA (prócz Małdrzyka).

Antosia.

Bracia moi! Róziu! wiecie? Wszak to ta biedna Jakóbowa, praczka, co na dole mieszka, oparzyła sobie nogę gorącém żelazkiem, które jéj spadło na nogę. Bie-

dna, dziecię sama karmi, ale z bólu straciła mleko, i dziecina płacze; a matka nie ma czém ją karmić. Biedna kobieta!

Zygmuś.

To żona tego Jakóba Żarkowskiego, który jest kamerdynerem u wujaszka?

Antosia.

Tak, tak.

Zygmuś.

A więc jéj męża nie ma w Warszawie, bo pojechał z panem swoim do Krakowa?

Antosia.

Tak, tak, zresztą choćby i był, to nie wieleby jéj pomógł, bo przecież wiesz, że bardzo długo był chorym obłożnie, i nie mógł nic przez ten czas zarobić, ale przeciwnie powydawał całe zapasy swoje pieniężne, uzbierane wprzódy. Wujenka, co taka dobra i litościwa, do-

wiedziawszy się, że jest bez miejsca i w potrzebie, uprosiła wujaszka, aby go przyjął do siebie, pomimo tego, że to Polak a nie Francuz ani Anglik, i do tego jeszcze nie zupełnie zdrów, a mocno osłabiony.

Rózia.

Ah! jak on też błogosławił wujenkę! jak on dobrze służy wujaszkowi, jak uważa na każde jego skinienie.

Zdzisławek.

Tysiąc razy lepszy, niżeli kamerdyner papy, ten przebrzydły Anglik, co nam nigdy usłużyć w niczém niechce.

Rózia.

A papa jemu tyle płaci! jak nasza panna służąca mówiła.

Antosia.

Bo Anglik. Oni drożsi od służących naszych.

Rózia.

O! ja naszych wolę.

Antosia.

Biedna, biedna Jakóbowa.

Rózia.

Ale skądżeś się dowiedziała o jéj przypadku?

Antosia.

Znalazłam w garderobie córkę jéj Magdusię, zapłakaną z oczami napuchłemi.

Rózia.

Doprawdy? Biedna Magdusia, ja ją tak lubię, bo ona zawsze mi suknie mojéj lalki popierze.

Antosia.

Mówi, że gospodarz chce jéj matkę wypędzić, bo nie zapłaciła mieszkania za kwartał. A ona biedna, dopiero połowę uzbierała téj kwoty, a teraz chora, to nieprędko zarobi na więcéj.

Zdzisławek.

Przeciwnie, na lekarstwa wyda.

Antosia.

Mnie to zdarzenie odjęło chęć do zabawy. Majówka nasza nie tyle mi się uśmiecha. Trudno dobrze się bawić, wiedząc o cudzéj biedzie.

Zygmuś.

Przychodzi mi jedna myśl, żeby Magdusi oddać pieniądze, przeznaczone na nasz podwieczorek. Zaniosłaby je matce, i na czas jakiś przynajmniéj mieliby zapomogę.

Antosia.

Śliczna myśl Zygmusiu.

Rózia.

A podwieczorek?

Zygmuś.

Obejdziemy się bez niego.

Rózia.

Ale będziemy głodni.

Antosia.

Lepiéj być głodnemi, z sumieniem czystém i sercém radośném, aniżeli po sutym obiedzie mieć wyrzuty sumienia.

Zygmuś.

Kurczęta zawsze będziemy mieli z sobą, bo na obiad były przyrządzone; to jedna różnica, że je Małdrzyk upiecze na wsi, a nie w Warszawie.

Antosia.

A i mleczywo się znajdzie; teraz maj, to miesiąc na mleko.

Zdzisławek.

A mléko wiejskie takie dobre!

Antosia.

Idę przyprowadzić Magdusię. (odchodzą)

SCENA VII.

CIŻ SAMI (bez Antosi).

Zdzisławek.

Jaki będzie szczęśliwy mąż Jakóbowéj, jak przyjedzie i dowie sie, że mu żony nie wypędzili z mieszkania.

Rózia.

I że mu dziecko nie umarło z głodu.

Zygmuś.

Widzisz Róziu, nie żałujesz już podwieczorku.

Rózia.

O! nie, wcale mój bracie! ani troszeczkę.

SCENA VIII.

CIŻ SAMI, ANTOSIA I MAGDUSIA.

Antosia

(do Magdusi, która oczy ociera).

Chodź, chodź, nie wstydź się, nic ci złego nie zrobią, nie będą się z ciebie śmieli, nie bój się.

Magdusia.

Upadam do nóg panicom i panienkom.

Zygmuś.

Moja Magdusiu, zanieś te pieniądze swojéj matce od nas, i powiedz, że poprosimy naszego guwernera i guwernantek, aby nam pozwolili jutro waszą matkę odwiedzić. (daje jéj pieniądze).

Magdusia.

O mój panicu! Jakze matula będąm kontenci! A moja siostra Salusia, co tam płace w kołysce, zaraz jéj mleka

kupiema, o! jak tylko podrośnie, naucę ją prosić Boga, za zdrowie panienek i panicńw.

Zygmuś.

Dziękujemy ci Magdusiu!

Magdusia.

Niech Matka Boska Częstochowska błogosławi kochane państwo. (całuje ręce i nogi dzieciom).

Zygmuś.

Idź, idź moje dziecko, pociesz matkę biedną.

(Magdusia odchodzi).

SCENA IX.

CIŻ SAMI I MAŁDRZYK (z papierem w ręku).

Małdrzyk.

Oto notatka.

Zygmuś.

Już jéj nie potrzebujemy.

Małdrzyk.

Jak to?

Zygmuś.

Nic nie kupimy, bo już oddaliśmy nasze pieniądze; nie mamy ani grosza.

Małdrzyk
(robiąc wielkie oczy).

A! a!

Zdzisławek.

Ale podwieczorek idzie swoją drogą, musisz go nam zrobić.

Małdrzyk.

A z czego?

Zdzisławek.

O! mój kochany! To nie sztuka zrobić z czegoś, zrób go z niczego, a wtenczas będziesz majster.

Małdrzyk.

Oho! (na stronie) Dałem sobie roboty!

Jak ja się ztąd wywinę? Zrób tu coś Z niczego! O! moja przyszłość! o gorżki zawodzie kucharski! dobre to przysłowie: „Nie mów hop, póki nie przeszkoczysz.“

(Kurtyna zapada).

KONIEC.

OBRAZY ŻYJĄCE.

KOMEDYJKA.

OSOBY.

Marynia, lat 7.

Juleczka, jéj przyjaciołka, lat 5.

Eufemcia, siostra Julki, lat 3.

Kamilla, panna służąca.

Rzecz dzieje się na wsi.

SCENA I.

(Teatr przedstawia pokój bawialny ładnie umeblowany, krośna, biurko, stół na środku).

MARYNIA, JULECZKA, EUFEMCIA.

Marynia.

Otóż moja Juleczko, zobaczysz, jak się doskonale będziemy bawiły. Zobaczysz, jak twoja i moja mama będą kontente! Ty jeszcze nie widziałaś obrazów żyjących?

Juleczka.

Nie widziałam, i nie jestem ciekawa.

Marynia.

To źle Juleczko, trzeba być zawsze

trochę ciekawą. Ale tylko trochę, mówi mama. Widzisz moja duszko, obraz żyjący, to prześliczna rzecz, sama się przekonasz, jak go zrobimy! Uśmiechasz się na samą myśl téj zabawy. O! widzę, widzę, że masz wielką ochotę być obrazem.

Juleczka.

Nie, nie mam ochoty.

Marynia.

A dla czego?

Juleczka.

Bo obraz nic nie mówi.

Marynia.

To nic nie szkodzi, ale za to jaki piękny! jaki śliczny! Wiele to do niego trzeba przyborów! wstążek, tiulu, gazy, a nawet pereł.

Eufemcia.

Nie mogę wam tak dobrze wytłóma-

czyć, ale wiem, że jak się przebierzemy, to będziecie kontente. Pewnie nas nasze matki nie poznają.

Juleczka
(zachmurzona).

Ale, bo ja nie chcę, żeby mnie mama nie poznała.

Eufemcia.

A i ja nie chcę, żeby mnie mama nie poznała.

Marynia.

Nie traćmy czasu na sprzeczkach tak nudnych; oto lepiéj zawołajmy panny Kamilli, żeby nas przebrała.

SCENA II.

TEŻ SAME I PANNA KAMILLA.

Kamilla.

Widzę, że się dziatki pięknie bawią, i aż mi serce rośnie z radości z takiemi

grzecznemi panienkami, to nie żal i czasu trochę stracić. To też przyszłam wam w pomoc do waszych zabaw. Jakąż grę ułożymy?

Marynia.

Obrazy żyjące.

Kamilla.

Tak, tak, zaraz porozrzucać wszystko w komodzie, poprzewracać wstążki, chustki, szale narobić pełno nieporządku. Już mnie te obrazy kością w gardle stanęły.

Juleczka.

A panna Kamilla, to zawsze mówi o rzeczach do jedzenia.

Kamilla.

Jak to?

Juleczka.

O potrawach!

Kamilla.

O jakiejże to ja potrawie mówiłam?

Juleczka.

A o kości, co w gardle stoi.

Marynia.

Alboż kość, to potrawa?

Juleczka.

A potrawa.

Marynia.

O! co to, to nie.

Juleczka.

A przecież kość, to potrawa.

Marynia.

Jakim sposobem?

Juleczka.

A kurczę, czy potrawa, czy nie?

Marynia.

O! kurczę, to potrawa.

Eufemcia.

Tak, kurczę, to potrawa.

Juleczka

A w kurczęciu są kosteczki, więc kiedy kurczę potrawa, to i kość potrawa, bo kość w kurczęciu.

Marynia.

Nie Juleczko, kość nie jest potrawą, ale mogła być kiedyś potrawą, gdy na niéj było mięso.

Juleczka.

A widzisz!

Kamilla.

No, no, dosyć tego. O czémże mówiliśmy wprzódy?

Marynia.

O obrazach żyjących. Jaka to dla mamci będzie surpryza; moja Kamciu,

przebierz nas, moja jedyna, moja złota, moja srebrna, moja miedziana!

Juleczka.

Moja żelazna, moja mosiężna, moja cynowa.

Eufemcia.

Moja porcelanowa, moja fajansowa, moja gliniana!

Kamilla.

Oj! co to, to dobrze Eufemcia powiedziała, prawda, że jestem gliniana, wszyscyśmy z gliny ulepieni.

Marynia.

Bądź sobie jaka chcesz, tylko przebierz nas.

Kamilla.

Za cóż mam was przebrać moje panny?

Marynia

(idzie do biurka i bierze dużą księgę).

Oto w téj książce znajdziemy wzór

do obrazu. Już raz z niéj układałyśmy jeden bardzo piękny, bardzo się nam udał.

Juleczka

Co to za książka?

Marynia.

Stary testament. Tam pisze o stworzeniu świata, o potopie, i o wielu pięknych rzeczach, które mi mamcia opowiada, a ja obrazki przeglądam. (Kładzie księgę na stoliku, Juleczka, Eufemcia zaglądają do niéj ciekawie, Marynia między niemi).

Marynia.

Oto patrzcie, Estera klęczy u nóg Aswerusa króla syryjskiego, i błaga go za naród swój.

Juleczka.

Jaki naród?

Marynia.

Żydowski. Estera była żydówką, czyli

izraelitką. A tu, patrzcie, żydzi na puszczy, mannę z nieba spadającą zbierają. A tu, przechodzą przez morze Czerwone. A tu, potop; któryż z tych obrazków weźmiemy na wzór?

Eufemcia.

Potop.

Marynia.

Co też ty mówisz Eufemciu, jakże przedstawić potop? Tobyśmy się chyba wszystkie potopiły?

Juleczka.

Ja nie chcę potopu.

Eufemcia.

A i ja nie chcę.

Kamilla.

No, to jakiż będzie obraz?

Juleczka.

Żydzi na puszczy, kiedy mannę zbierają.

Marynia.

A cóż będzie manną?

Juleczka.

Rodzenki i migdały. Niech Kamilla schowa się za parawan i sypie nam rodzenki i migdały, a my będziemy zbierać, niby to żydzi na puszczy.

Eufemcia.

Tak, będziemy zbierać i zajadać.

Kamilla.

Tak, żeby zachorować; tegoby tylko brakowało. Mój Boże! czego się to nie zachciewa. Może szybki z okna, lub kafelka z pieca?

Marynia.

Moja jedyna Kamciu, zaczynasz gderać, jak żebyś już była starą. A ty przecież jeszcze młoda, kiedy nie jesteś za mężem. Co? prawda, że jesteś młoda?

Kamilla
(w złym humorze).

Czy młoda, czy nie młoda, to wszystko jedno dla was, już późno, nie zadługo o spaniu, a nie o jakichś tam obrazach żyjących trzeba będzie myśleć.

Marynia.

No, to wybierz nam sama obraz jaki z téj książki. Czy Esterę, czy jaki inny.

Kamilla.

Niechaj już Estera, a byle prędzéj skończyć ten kłopot, potrzebny, jak dziura w moście.

Marynia.

Przynieś więc nam nasze ubranie, moja Kamilciu jedyna. (Kamilla wychodzi).

Marynia.

Ty Juleczko będziesz Esterą, a Eufemcia i ja będziemy twoje służebnice, Ka-

milla zaś będzie królem Aswerusem mężem twoim.

Juleczka.

Ja nie chcę być żydówką, nie chcę się przebierać.

Eufemcia.

A i ja nie chcę być żydówką.

Marynia.

No, to ja będę Esterką, a wy będziecie moje służebnice.

SCENA III.

KAMILLA (wchodzi z ubiorami).

Kamilla.

Oto macie wszystko moje panienki, którąż mam najprzód ubrać?

Marynia.

Juleczkę.

Kamilla.

Chodź Juleczko. Tam prędzéj sią nam uda, niż tu.

Marynia.

A tylko prędzéj, prędzéj. I ty Kamillo przebierz się za króla Aswerusa.

Kamilla.

O! co te dzieci wyrabiają z ludźmi rozumnemi! Ale to sprzeciwić się, to nie daj Boże, coby to była za biéda!

Marynia.

Jak téż ja cię kocham za to, że jesteś dobrą dla mnie!

Kamilla.

No, chodź, chodź Juleczko! (wychodzą).

SCENA IV.

MARYNIA I EUFEMCIA.

Marynia.

Ciekawa jestem, czy będzie ładnie Juleczce w tym stroju żydówki. Wiem, że jak tu była Paulinka, i mama nas przebrała, podobno także za żydówki, to tak pięknie wyglądałyśmy, że wszyscy myśleli, że to prawdziwe żydówki. A Kamilla, czy téż będzie podobna do króla Aswerusa? Eufemcio, chodź do mnie, ja cię przebiorę. (Kładzie jéj woalik na głowę i turbanik, potém kaftanik) O tak, bardzo ci dobrze, śliczna jesteś.

Eufemcia.

Doprawdy?

Marynia.

Bezwątpienia, teraz na mnie kolej.

SCENA V.

TEŻ SAME oraz KAMILLA I JULECZKA.

(Kamilla przebrana w turbanie i płaszczu szerokim, a raczéj pudermantlu, czyli peignoirze damskim, pas szeroki, na przodzie związany, Juleczka przebrana tak jak Eufemcia).

Kamilla.

Już jesteśmy gotowe. Cóż, czy podobna jestem do tego króla Surusa?

Marynia.

Aswerusa Kamillo. O! bardzo jesteś podobna, zupełnie on! Ale i Juleczka wyborna! teraz Kamciu, pomóż mi się przebrać. (idzie z Kamillą za parawan).

Juleczka.

A my tymczasem przepatrzymy te obrazki.

Eufemcia.

Dobrze Juleczko. (przybliżają się do stolika i książkę otwierają).

Juleczka.

Już ja bym wolała, żebyśmy były obraz

żydów zbierających mannę przedstawiły. Przynajmniéj byłyby smaczne rzeczy do jedzenia, a tak co?

Eufemcia.

Prawda, a tak nic.

Juleczka.

Zabawniejsza to gra, ślepa babka.

Eufemcia.

Albo myszka i kotek.

Juleczka.

Albo lis bieży, ogon leży.

Eufemcia.

Albo mruczek.

Juleczka.

Albo majster Wirgiliusz.

Eufemcia.

Albo pasterz i owce.

Juleczka.

Albo proszę za drzwi.

Kamilla

(za parawanem).

Otoż i moja pani Esterka przebrana, zaraz się wam pokaże.

Juleczka.

A to już można zawołać mamę?

Kamilla

(za parawanem)

O nie! broń Boże! Trzeba wprzódy ułożyć obraz, a potem zadzwonię. Panie są już uprzedzone, wiedzą, że się tu gotuje niespodzianka, ale nie wiedzą jaka. Jak zadzwonię, drzwi od salonu otworzą i przyjdą. (wychodzi z Marynią z za parawanu, Marynia przebrana ładnie za żydówkę wschodnią).

Marynia.

A co, piękna jestem?

Eufemcia.

Bardzo piękna!

Juleczka.

Tylko szkoda, że cybulę od ciebie słychać, tak jak zawsze od żydówek.

Marynia.

Brzydka Juleczka! Co ona na mnie wygaduje! Czyż ja prawdziwa żydówka?

Juleczka.

A prawdziwa.

Marynia.

O nie! (chce zrzucić ubiór z głowy). Nie będę już przebraną, Kamciu, zrzuć mi ten ubiór.

Kamilla.

A to co nowego? Proszę się zaraz pogodzić. Juleczko, Maryniu, pocałujcie się, tak jak grzeczne panienki. (Marynia Julka całują się.)

Eufemcia.

I ja was także pocałuję!

(całują się wszystkie).

Kamilla.

Oto najpiękniejszy obraz! Z tegoby wasze mamy się ucieszyły! No, dzwonię.

Marynia.

Nie, siadaj na krześle, jakby król na tronie, a ja uklęknę. Juleczka i Eufemcia z tyłu za mną będą stały.

(Kamilla siada na krześle, Marynia na poduszce przed nią klęka, Juleczka i Eufemcia za nią. Kamilla dzwoni).

(Zasłona zapada).

KONIEC.

PRIMA APRILIS.

OSOBY.

Izabelcia, lat 5.

Jaś, lat 8.

Adelcia, lat 9.

Ignaś, brat ich cioteczny, lat 10.

Rzecz dzieje się w Warszawie.

SCENA I.

(Teatr przedstawia pokój dziecinny naukowy).

IZABELCIA, ADELCIA, JAŚ.

(Siedzą w około stolika, i stawiają domki z kart).

Izabelcia.

Jakie szczęście, że dziś rekreacya, kochany czwartek nadszedł nareszcie!

Jaś.

Ah! to prawda! Jaka szkoda tylko, że jeden czwartek w tygodniu.

Adelcia.

Możebyś chciał Jasiu, aby codzień był czwartek?

Jaś.

A pewno!

Adelcia.

Wstydź się być takim leniwym. Muszę się za ciebie rumienić, nie dziwię się Izabelci, bo ona mała, ale ty Jasiu masz przecież lat ośm skończonych.

Jaś.

Szkoda, że nie trzy.

Adelcia.

Dla czego?

Jaś.

Bom się wtenczas nie uczył.

Adelcia.

Myślałby kto, że nauka, to jaka krzywda, a to przecież pożytek i chluba.

Jaś.

Adelciu! dobra z ciebie dziewczynka, ale szkoda, że masz jednę wadę, bo jesteś mądra.

Adelcia.

Mój Jasiu, wiem że mnie nie kochasz, bo ja ci zawsze prawdę mówię.

Jaś.

Bardzo ci dziękuję, ale obejdę się bez téj łaski.

Adelcia.

Jak sobie chcesz.

Izabelcia.

Szkoda, że nie ma Ignasia, tenby was zaraz pogodził.

Jaś.

Prawda! a miał dziś przybyć, bo to pierwszego kwietnia.

Adelcia.

Ah! to dziś Prima Aprilis!

Jaś.

A Ignaś sprzeczał się z nami, że nas potrafi w ten dzień zwodzić rozmaitemi

sposobami. Ja utrzymywałem, że nie dam się oszukać.

Adelcia.

Szkoda że nie przyjechał.

Jaś.

Za to na święta Wielkanocne bezwątpienia przyjedzie. To będziemy się bawić! Mama obiecała nam osobny stoliczek ze święconém, będziemy mieli nasze babki, nasze mazurki, nasze jajka święcone!

Adelcia.

Ja mamie będę pomagała w pieczeniu ciast.

Izabelcia.

A ja wujaszkowi będę pomagała w zajadaniu święconego.

Jaś.

Ja wam jajka prześliczne kupię w cukierni. Będą na nich wymalowane gołąbki i kwiatki, i inne różne ładne rzeczy.

Izabelcia.

Kochany Jasiu! jak ja cię kocham!
(całuje go. Słychać stukanie do drzwi).

Jaś.

A to co?

Adelcia.

Trzeba zobaczyć. (idą ku drzwiom i otwierają je).

SCENA II.

CIŻ SAMI I IGNAŚ (przebrany za druciarza, kapelusz jego na oczy nasunięty).

Ignaś.

Czy można wejść?

Adelcia.

Biedny druciarz!

Jaś.

A czego chcesz?

Ignaś.

Czy nie ma co do roboty? Może garn-

ki drutować trzeba? tobym zarobił chleba kawałek. A dziś nic nie jadłem.

Adelcia.

Biedny chłopiec!

Izabelcia.

Jak się nazywasz?

Ignaś.

Wojtuś mi na imię.

Adelcia.

A gdzie twój ojciec, matka?

Ignaś.

Pomarli, moja piękna panieneczko.

Adelcia.

Poczekaj, ja ci przyniosę chleba z masłem.

Ignaś.

Koli ja z masłem nie mogę.

Adelcia.

To z powidłami.

Ignaś.

Bóg zapłać, kochana panienko.

(Adelcia wychodzi.

SCENA III.

IGNAŚ, JAŚ, IZABELCIA.

Ignaś.

Będę Boga prosił za was moje miłe paniątka.

Jaś.

Muszę mu też co dać od siebie. Izabelciu! czy bardzo ci się chce tych jajek cukrowych?

Izabelcia.

O! bardzo! A dla czego się pytasz?

Jaś.

Bobym te pieniądze, które mam od papy, na jajka wielkanocne, temu biedakowi oddał.

Izabelcia.

Dobrze, dobrze, oddaj mu braciszku. Już mnie nie będzie szkoda, ani tych jajek, ani gołąbków wymalowanych.

SCENA IV.

CIŻ SAMI, ADELCIA (z chlebem i bielizną).

Adelcia.

Oto masz mój Wojtusiu, chleb złotówkę i koszulę moją starą, będzie na ciebie dobra.

Ignaś.

Dziękuję, dziękuję. (całuje jéj rękę).

Jaś

(wydobywa z kieszeni pół rubla).

Masz to odemnie, kup sobie buty na święta.

Adelcia.

Kochany Jasiu, masz dobre serce.

(całuje Jasia).

Izabelcia.

A to odemnie, pierniczek. Nic innego ci dać nie mogę, bo nic nie mam. (daje pierniczek Wojtusiowi).

Ignaś.

Dziękuję paniczowi, dziękuję panienkom. Niech Bóg wynagrodzi stokrotnie, niech Bóg was błogosławi moje paniątka. (wychodzi).

SCENA V.

CIŻ SAMI, prócz IGNASIA.

Adelcia.

Biedne chłopczysko.

Jaś.

Na święta przynajmniéj będzie miał koszulę i obuwie.

Izabelcia.

I pierniczek.

Jaś.

A my się wybornie bez jajek cukrowych obejdziem. Czyż tyle innych smacznych rzeczy nie będziem mieli? Szynek, kiełbasek, ciast wybornych!

Adelcia.

Szkoda, żeśmy tego biednego chłopca na nasze święcone niezaprosili; nasi rodzice, pewnieby się za to nie rozgniewali. A dla nas, co za radość, widzieć, jakby ten nieborak zajadał ze smakiem. On pewno nigdy w życiu takiego święconego, jak nasze nie kosztował!

Jaś.

Już musi być daleko! Co za szkoda, żeśmy go wprzódy nie zaprosili. Że też nam ta myśl pierw nie przyszła, póki on tu był!

Izabelcia.

Zobacz przez okno Jasiu, może też on nie daleko.

Adelcia.

Może go jeszcze można zawołać.

Jaś

(idzie do okna).

Nie, nie widać. (po chwili). Patrzcie! Izabelciu, Adelciu, jakiś żydek ze szkatułą i kubkami, robi mi rozmaite znaki, głowę przekrzywia, może ma jaki interes.

(Adelcia i Izabelcia idą do okna).

Adelcia.

Zawołaj go Jasiu.

Jaś

(kiwa ręką na żydka).

Izabelcia.

Otóż zrozumiał, idzie do nas. Ciekawam, co on ma w téj szkatułce? Może cukierki, albo ciasteczka!

SCENA VI.

CIŻ SAMI I IGNAŚ (za żydka przebrany).

Ignaś

(stawia szkatułkę na stole, zdejmując czapkę).

Dobrego wieczór paniczowi i panienkech. Możejakie sztuka pokazać? Umiem rozmaitech. I malińkiech i dużech, i łatwech i trudnech, i jakie tylko sobie panicz i panienkech zechcieć. Jestem Zyskiel Lejzor Dawidowicz, sztukmajster z Lublina. Ale wszędzie na prowincyech nazywają mnie Bekas, nie wiem dla jakich przyczynów.

Izabelcia.

Ah! pokaż nam jaką sztukę.

Adelcia.

Poczekaj Izabelciu, spytam się mamy, czy pozwoli.

Jaś

Idź Adelciu, ale wracaj prędko.

(Adelcia wychodzi.)

SCENA VII.

CIŻ bez ADELCI.

Jaś.

Jakież umiesz sztuki, panie Zyskiel Lejzor?

Ignaś.

Bardzo pięknech i bardzo trudnech.

Izabelcia.

Ah! mój Jasiu, jakem ja ciekawa!

SCENA VIII.

CIŻ SAMI I ADELCIA.

Adelcia.

Mama pozwolila, ale śmiała się, nie wiem dla czego; zapewne z naszéj ciekawości.

Ignaś.

Niech panienka będzie cierpliwym, proszę usiąść i patrzeć.

(Dzieci siadają w około stolika).

Ignaś
(zatacza rękawy).

Pańskie dzieci, pański śmiecch, tu, lu, lu, lu, lu, lu, lu, lu, (sztuka w stół, i z pod niego wysuwa kubek z orzechami). Raz, dwa, trzy cztery, pięć. W tym kupku mamy pięć orzechy, a w tym trzy, tu, lu, lu, lu, lu, lu, lu; pańskie dzieci, pański śmiech (przemienia kubki z szybkością). Ein, zwei, drei, fier, fünef, sechse, siebene, achte; teraz tu pięć, a tu trzy. (pokazuje zdziwionym dzieciom). Tu, lu, lu, lu, lu, lu Pańskie dzieci, pański śmiech! (chowa kupki pod stół).

Izabelcia.

Ah! jak to ładnie!

Adelcia.

Ale on ciągle to samo pokazuje.

Ignaś.

Nu, czemu panienka się niecierpliwić, U panienkech, to co nowego, to dobrego, co starego, to brzydkiego. Zaraz będzie druga sztuka. Bardzo pięknech i bardzo łatwech. (rękawy zatacza znowu, i nitkę pokazuje). Oto nitkes, potnę ją na kawałki (tnie nożyczkami) Raz, dwa, trzy; ein, zwei, drei. Teraz ją połknę. (bierze do ust, w których druga cała nitka była, udaje, że tamtę pociętą połknął, tymczasem całą pokazuje, wysuwając ją z ust). Oto cala nitka, którą polknąłem, a która zrobila się calém. Auf meine munes, dobra sztuke. Pańskie dzieci, pański śmiech. A teraz proszę co żydkowi podarować. Może co z bieliznech starech! albo jakie kilka groszy, albo cokolwiek ze starzizny (kłania się nizko). Bardzo proszę panicza i panienkech.

Adelcia.

Mama mi właśnie dała na zapłacenie za twoją fatygę. (daje mu picniądze).

Jaś.

Czy już więcéj nic nie umiesz?

Ignaś.

Z psieproseniem panicza, bez obrazy, ale już na szabas trzebes trzeba się gotować; może gdzieindziéj co zarobiem.

Adelcia.

Przecież dziś czwartek dopiero? Mógłbyś jeszcze nam jaką sztukę pokazać, mój Lejzorku, czy téż Bekasie, ale widać, że się chcesz drożyć.

Ignaś.

Do stu lat panienke, do stu lat.

Jaś.

Mówiłeś, że tyle umiesz sztuczek?

Ignaś.

Nic tu wspominając, umiem piosneczkech, bardzo czulich i smutnech. (drapie się).

Jaś.

No, to zaśpiewaj mój Lejzorku.

Adelcia.

Mój Zyskielu.

Izabelcia.

Mój Bekasie.

Ignaś.

(trzęsącym głosem, i wysępując na środek sceny, śpiewa)

Dobrzem zrobiul, powiem ściże,
Gdy się wojna zaczynala,
Żem się nie dal wziąść w żolnierże,
Bo mnie matula schowala,
Bo mnie matula schowala.

(mówi) Aj! aj, aj, waj mir! (kłania się nizko, czapkę zdejmując)!

Jaś.

Bardzo dobrze.

Ignaś.

No, dobrego wieczór paniczowi i panienkech, już muszę iść do domu.

Jaś.

A wróć kiedy do nas.

Ignaś.

Wrócę, wrócę, do tak dobrech i grzecznech dzieciów. (wychodzi z szkatułką).

SCENA IX.

CIŻ SAMI bez IGNASIA.

Izabelcia.

Dobry żydek, jak on nas naśmieszył!

Adelcia.

Szkoda, że tak krótko.

Jaś.

Przecież wróci, wszak powiedział.

Izabelcia.

Ale, jak on tę nitkę mógł połknąć, a potém całą pokazać! Ja tego nie rozumiem mój Jasiu! a ty?

Jaś.

I ja nie rozumiem; ale jak on tu kiedy przyjdzie, to go poprosimy, aby nas téj saméj sztuki nauczył.

Adelcia.

Prawda, trzeba go koniecznie o to poprosić.

Izabelcia.

My za to damy mu naszego święconego.

Adelcia.

O nie, Izabelciu, żydek nie powinien dostać naszego święconego. Zresztą on by go nie jadł, jemu nie wolno jeść wędliny, ani wieprzowiny. Lepiéj postarać się o wynalezienie biednego druciarza. Jemu zachować część naszych zapasów. On biedny, więcéj potrzebuje wsparcia, jak żydek, któren sobie da radę. Wszędzie go dzieci obdarzą. A druciarz, nie raz cały dzień bez kawałka

chleba strawi, i bardzo szczęśliwy, gdy się kto nad nim zlituje, i da mu jaki lichy garnuszek do drutowania.

Jaś.

Masz racyę Adelciu, lepiéj obdarzyć druciarza, niż Lejzora. Biedny Wojtuś, on prawdziwie nędzny i potrzebujący wsparcia i jałmużny.

Adelcia.

Nie raz wypchną za drzwi, wybiją, bo tak widziałem, jak z innemi druciarzami robią. I on pewnie nie jest szczęśliwszy od swoich towarzyszy. O! ja go koniecznie muszę wynaleźć, i poproszę mamy aby mu jakie wsparcie dała; ma ma taka dobra, taka litościwa, że mi pewnie nie odmówi.

Jaś.

Jak tylko zobaczę gdzie druciarza, to

będę się starannie przypatrywał, czy to nie Wojtuś nasz.

(słychać stukanie we drzwi).

Adelcia.

Jasiu! czy słyszysz? Ktoś stuka, może to on, może to biedny druciarz wraca do nas, może zgadł nasze myśli?

Jaś.

Zobaczymy. (idzie ku drzwiom i otwiera).

SCENA IX.

CIŻ SAMI i IGNAŚ (za murzyna przebrany, kawałek krepy czarnéj na twarzy, turbanik czerwony na głowie kaftan zielony).

Ignaś.

Ja być murzynkiem.

Jaś.

Co?

Ignaś.

Ja być murzynkiem.

Adelcia.

Czego chcesz?

Ignaś.

Szukam służby.

Izabelcia.

Boję się tego murzyna.

Adelcia.

Izabelciu, czego się boisz? Wszak to taki człowiek, jak i my, tylko czarny.

Jaś.

Jak się nazywasz? Zkąd jesteś?

Ignaś.

Nazywam się Damis, jestem z Afryki.

Adelcia.

Z Afryki?

Izabelcia.

Daleko to od Warszawy?

Jaś.

A tak dobrze mówisz po polsku?

Ignaś
(trochę zmięszany).

Bo... bo... bo... moja matka była Polka, ojciec murzynem.

Adelcia.

Mój Boże! jak to dziwnie! To ty jesteś na wpół Afrykanin, a na wpół Polakiem?

Jaś.

A dawno do Warszawy przybyłeś?

Ignaś.

Niedawno.

Adelcia.

Jakże się do nas dostałeś?

Ignaś.

Płynąłem okrętem na morzu Śródziemném, a potém lądem długo podróżowałem.

Jaś.

Ale z jakiego powodu opuściłeś swoją ojczyznę? Czy Afryka nie jest piękną częścią świata, czy ci tam nie dobrze było?

Ignaś.

I owszem, ale ponieważ mój ojciec miał żonę Polkę, to i ja bym chciał się z Polką ożenić. Powiedziałem sobie, że koniecznie muszę tego dokazać, i zaraz otrzymawszy pozwolenie ojca, wsiadłem na okręt, i przybyłem do Warszawy, aby sobie znaleźć żonę Polkę.

Jaś.

Dobrze robisz mój Damisku, że chcesz mieć żonę z tego samego narodu, z którego miałeś matkę. Poproszę papy, aby ciebie przyjął za lokaja; będziesz usługiwał mnie i moim siostrom, a jak urośniesz, to znajdziesz sobie żonę, i wró-

cisz do Afryki. My tobie wesele wypra-
wimy.

Adelcia.

Cóż ci się najlepiéj w Warszawie po-
dobało, mój Damisku?

Ignaś.

Ty, moja śliczna panienko.

Adelcia.

Dziękuję, panie murzynie. (dyga mu).

Ignaś.

To téż jak urosnę, nie chcę mieć innéj
żony, jak ciebie.

Adelcia.

Co mówisz?

Ignaś

Tak, tak, ożenię się z tobą, zawiozę
cię z sobą do Afryki.

Adelcia.

A! niech Pan Bóg broni! Ja nie chcę,
nie chcę.

Ignaś.

Dla czego?

Adelcia.

Nie chcę tak daleko wyjechać, nie lubię kraju, gdzie tak dużo krokodylów.

Ignaś.

Można się do nich przyzwyczaić, to dobre stworzenia, nie trzeba im tylko w drogę włazić.

Adelcia.

Nie, nie chcę się do nich przyzwyczajać. Nie chcę jechać do Afryki i mieć męża murzyna.

Ignaś.

Kiedy ja tak będę prosić, tak będę prosić!

Adelcia.

Nie, nie, ja nie zechcę. (płacze).

Ignaś.

To z tamtą młodszą. (wskazuje na Izabelkę).

Izabelcia.

Co? mnie zabierać od mamy i od papy, nie, nie, ja nie chcę!

Ignaś.

Ale, kiedy ja muszę koniecznie jednę z was mieć za żonę, któraż chce pójść za mnie?

Izabelcia.

Nie ja! nie ja! (chowa się za krzesło i płacze).

Adelcia
(ocierając łzy).

Ani ja, ani ja!

Ignaś.

Czyż się ta zabawa na płaczu skończy? Czy nie poznajecie mnie? (zrzuca krepę z twarzy.)

Jaś.

Ah! to Ignaś! (bieży do niego i ściska go).

Adelcia.

Ignaś!

Izabelcia
(za krzesłem schowana)

Czy doprawdy?

Adelcia.

Doprawdy, to on!

Ignaś.

Przebaczcie mi kochane cioteczne siostrzyczki. Dzisiaj Prima Aprilis, obiecałem, że was zwiodę, i udało mi się. Czemużeście mnie nie poznały w druciarzu Wojtusiu, w żydku Lejzorku i w murzynku Damisie? A co, gniewacie się na mnie jeszcze?

Adelcia i Izabelcia
(razem).

O nie! o nie!

Jaś.

Kochany Ignaś, że ja go też nie poznałem.

Ignaś.

Już nie zabiorę was do Afryki, Adelciu i Izabelciu, możecie być spokojne, nie będziecie miały męża murzyna. Ale chodźmy teraz do waszych rodziców, którzy byli uprzedzeni o moich figlach. Opowiem im, jak mi się udały.

(Kurtyna zapada).

KONIEC.

NAGRODA I KARA.

OSOBY.

Ludwisia, lat 10.

Helenka, jéj siostra cioteczna, lat 8.

Antoś, brat Helenki, lat 7.

Pani Piernikowska, szafarka.

Panna Karcicka, guwernantka.

Rzecz dzieje się na wsi, u matki Helenki i Antosia.

SCENA I.

(Teatr wystawia pokój dziecinny naukowy. Ludwisia i Helenka szyją, Antoś siedzi na krześle, jakby na koniu, i kiwa się, nachylony nad robotą Helenki.)

Helenka.

Dajże pokój Antosiu, przeszkadzasz nam robić robotę, a potém panna Karcicka będzie nas strofować, z twojéj winy.

Antoś.

I cóż ja wam złego robię?

Helenka.

Przeszkadzasz nam, mówię ci.

Antoś.

Myślałby kto, że tu pokój tylko dla ciebie, a to przecież nas wspolny.

Helenka.

Powinieneś jako chłopczyk, być grzecznym dla nas panienek.

Antoś.

Właśnie dla tego, żeście wy panienki, powinnyście być grzecznemi dla mnie. Czyż nie wiécie, że panna Karcicka zawsze wam powtarza: „Bądźcie grzeczne, bo jesteście panienki, a panienka zawsze grzeczną być powinna.

Helenka.

Prawda, że tak do nas mówi, ale do ciebie powiedziałaby: „bądź grzecznym, bo jesteś chłopczykiem“, a chłopczyk zawsze powinien być grzecznym.

Antoś.

E! moja kochana, chłopiec zawsze sobie zawsze da radę, i bez grzeczności, bo on chłopiec, a panna co? Ot kobieta, musi być dla wszystkich grzeczną, żeby jéj kto nie wlazł w drogę, żeby jéj kto nie dokuczył, bo dla niéj nie ma innéj broni, tylko grzeczność. A u nas, to dopiero siła. My potrafimy się obronić, u nas i bicz w robocie, i kijek i pałeczka, i głos silny, i spojrzenie ostre! To téż każden się nas boi!

SCENA II.

CIŻ SAMI i PANI PIERNIKOWSKA.

(Pani Piernikowska w dużym czepku, fartuszku, u którego pęk kluczy wisi).

Pani Piernikowska.

Cóż to znowu? Dzieci jeszcze w pokoju, a na dworze tak pięknie, ptaszki śpiewają, zielono, kiedyż biegać, jeżeli nie teraz?

Helenka.

Mamy robotę naznaczoną od panny Karcickiéj.

Ludwisia.

I jeszcze lekcya jedna na nas czeka.

Pani Piernikowska.

To grzech, dalipan, tak męczyć te biedne dzieciska. Tyle już tych rozumów, i jeszcze nie dosyć. Póki tego będzie?

Antoś.

Moja Piernikosiu, poproś panny Karcickiéj, żeby pozwoliła Helence i Ludwisi pójść ze mną do ogrodu, tam łowić będą ryby. Będziemy się tak wybornie bawili!

Pani Piernikowska.

Nie tylko, że będą łowili, ale już łowią.

Antoś.

Co? już je łowią? (zrywa się z krzesła) He-

lenko, Ludwisiu, chodźcie, chodźcie ze mną. Weźmiemy maleńkich rybek do słoja, i będziemy je hodować w pokoju naszym, każde z nas będzie miało jednę rybkę!

Helenka.

Przecież wiesz Antosiu, że panna Karcicka kazała nam z robotą pospieszać. Powiedziała, że jeżeli porządnie będzie zrobioną, za nagrodę będziemy miały pochwałę przed mamą, która dziś ma wrócić. A jeżeli źle będzie, za karę dostaniemy naganę, zawsze w przytomności mamy. Nie chciałybyśmy, aby za powrotem swoim do domu, kochana mama miała przykrość, o nie! ja bym wolała żadnéj rybki nie zobaczyć, żadnéj nie hodować!

Ludwisia.

Panna Karcicka powiedziała, że ta,

która robotę lepiéj zrobi, będzie mogła przed ciocią się z nią popisać, a nawet jéj ofiarować własną pracę.

Helenka.

Uciecha mamy będzie naszą nagrodą, jéj zmartwienie byłoby naszą karą, a ta kara dla mnie surowsza, niż wszystkie inne.

Antoś.

No! kiedy was namówić nie mogę, pójdę sam. Ale niech mi pani Piernikowska da coś na drogę.

Pani Piernikowska.

Cóż? naprzykład?

Antoś.

No, to się ma rozumieć, coś smacznego. Albo pierniczek, albo śliweczkę, albo sucharek. Już ja wiem, że tam w kieszeni coś być musi? A co? zga-

dłem? Czy zgadłem? Pani Piernikowska?

Pani Piernikowska.

Że ja też temu dziecku nic odmówić nie mogę! Nic dziwnego, wszak to ja takie tyćkie, maciupeńkie, wynosiłam, wylulałam, wypieściłam na swoich rękach. No, masz koteczku, trzy rodzenki, śliwek i dwa sucharki. (daje mu z kieszeni).

Antoś.

Dziękuję, pani Piernikowska! Za to jak urosnę, kupię pani piękny czepek, piękny szlafrok w kwiaty i chustkę wełnianą. A potém, będę panią bronić od wszystkich nieprzyjemności. Bo ja przecież nie darmo chłopiec! potrafię panią obronić. I ktoby tylko chciał się pani naprzykrzyć, to mu powiem: „nie przybliżaj się do pani Piernikowskiéj, bo jak cię palnę!“ (ręką pokazuje uderzenie).

Pani Piernikowska.

(ze łzami, które ociera).

Ah! jak on pięknie mówi, zupełnie jakby z książki. To złote dziecko!

Ludwisia.

To dobrze, kochany Antosiu, ześ ty taki odważny, ale mój kochany, wolałabym, żebyś rozumem wzbudzał poszanowanie, jak biczykiem.

Antoś.

Proszę, proszę, jaka mi mądra.

Pani Piernikowska.

Niech panna Ludwika nie detonuje mego Antolka, on już i tak zanadto rozumny. Czysty portret nieboszczyka ojca, święć panie nad jego duszą. (płacze).

Antoś.

Niech pani Piernikowska się nie rozczula! Cóż robić, na świecie to wiele

smętnych rzeczy, ale trzeba je znosić. Bądźcie zdrowe siostrzyczki, idę do rybek, idę do rybek. (wychodzi, skacząc na jednéj nodze i śpiewając).

Przeleciała przepióreczka w proso,
A ja za nią nieboraczek boso,
Trzebaby się pani matki spytać,
Czy pozwoli przepióreczkę schwytać.

SCENA III.

HELENKA, LUDWISIA, PANI PIERNIKOWSKA.

Pani Piernikowska.

To bardzo pięknie ze strony panny Ludwiki i panny Heleny, że takie pilne i pracowite. Muszę się za to przysłużyć kurczątkami, a właśnie mam takie żółciutkie, jakby kanareczki.

Helenka.

A! moja kochana pani Piernikowska!

Pani Piernikowska.

Ale, ale, przypominam sobie, że mnie tam potrzebują do blichu płótna. Zamarudziłam tu z memi dzieciaczkami, trzeba śpieszyć, a właśnie pani dziś ma wracać, jak podobno pisała do panny Karcickiéj. Muszę się przed nią popisać z drobiem, z nabiałem, apteczką, do któréj przybyły tyle konfitur, soków, galaret. O! widzę, jak się pani ucieszy, jak powié, klepiąc mnie po ramieniu: „Kontenta jestem z twojéj pracy, moja Piernikowska, jesteś moją prawą ręką.“ I prawda, nie chwaląc się, żeby nie Piernikowska, pięknieby tu było w całym dworze. Ja tu ich wszystkich utrzymuję. Nie mała to rzecz, mieć na swojéj głowie tyle ludzi, tyle zwierząt! Drób folwarczny, obora, stajnia, nawet to wszystko pod moim dozorem, a wszędzie trzeba dreptać, rządzić, i zawsze to

samo powtarzać: „oko pańskie, konia tuczy“; dobre to przysłowie, nie zapominajcie go moje panny jak wyrośniecie i pójdziecie za mąż. (wychodzi).

SCENA IV.

HELENKA i LUDWISIA.

Ludwisia.

Otoż i moją robotę skończyłam.

Helenka.

A do mojéj, parę ściegów tylko brakuje.

Ludwisia.

Jeszcze nam pozostaje przepisanie téj pięknéj legendy Odyńca, pod tytułem. „Jałmużna.“ Umię ją na pamięć, i w życiu mojém piękniejszych wierszy nie czytałam.

Helenka.

Prawda, że wszystko co Odyniec pisze, trafia prosto do serca.

Ludwisia.

Czy może być co piękniejszego, jak te cztery wiersze, któremi się ta legenda zaczyna.

„Litość dla biednych, wzgląd na sieroty,
„Jakiegoż serca nie wzruszą?
„Alinko, wszystkie piękne są cnoty,
„Lecz litość wszystkich cnót duszą.“

Helenka.

Czy dużo już przepisałaś z téj legendy?

Ludwisia.

Dwadzieścia wierszy brakuje do końca.

Helenka.

O! to mniéj masz roboty odemnie, bo co ja, to ledwo połowę przepisałam.

Ludwisia.

Idę pospieszać.

Helenka.

A ja tu zostanę, takim sposobem nie będziemy sobie wzajemnie przeszkadzały.

Ludwisia.

Życzę, aby ci się udało.

Helenka.

Ja wzajemnie.

(Ludwisia odchodzi).

SCENA V.

Helenka.

(sama).

Mój Boże! jakże się cieszę, że kochana mama dziś powróci! Tak dawno jéj nie uściskałam. Mam nadzieję, że będzie ze mnie kontenta, że się ucieszy,

słysząc z ust panny Karcickiéj pochwałę dla Ludwisi i dla mnie.

SCENA VI.

HELENKA i ANTOŚ.

Antoś

(skacząc, wchodzi).

Helenko! wiesz, dostałem parę śliczuych królików! Mają oczki czerwone i takie śliczne uszki, chodź zobacz!

Helenka.

Króliki, ach! ja nigdy jeszcze tych zwierzątek nie widziałam. A taka jestem ich ciekawa!

Antoś.

To chodź ze mną.

Helenka.

A gdzie są one?

Antoś.

W ogrodzie.

Helenka.

Ale jeszcze nam przepisywać duży kawałek.

Antoś.

Będziesz miała dosyć czasu, jeszczebyś dwa razy skończyła do wieczora.

Helenka.

No, to idę. (składa robotę) Ah! mój Antosiu, darujesz mi jednego?

Antoś.

Dobrze, ale sobie zostawię najpiękniejszego! (wychodzą).

SCENA VII.

Pani Piernikowska.

Już wszystko zadysponowane, urządzone i uporządkowane. Może pani przy-

jechać, a będę się miała z czém popisać. Wszystko czyściutko, jak w szklaneczce. Ale nie mało to utrapienia człowiek zniesie, póki to zrobią, tak jak trzeba. Ale słyszę jakiś ruch, czyby to pani miała już przyjechać, pójdę zobaczę.

(wychodzi jednemi drzwiami).

SCENA VIII.

Ludwisia

(drugiemi drzwiami).

Ludwisia.

Helenko! Helenko! Wszak to już ciocia jedzie, właśnie przybył goniec, którego wysłaliśmy naprzeciwko, mówiąc: że zostawił powóz o wiorstę tylko. Ale gdzież Helenka? Helenko! Helenko!

(zagląda w okno).

SCENA IX.

TAŻ SAMA I HELENKA.

Helenka.

Wołasz mnie Ludwisiu?

Ludwisia.

Ciocia jedzie!

Helenka.

Ah! mój Boże! a moje przepisanie nie skończone!

Ludwisia.

Jakto?

Helenka.

Antoś mnie wywołał, i nie miałam czasu skończyć, o mój Boże! mój Boże! (płacze).

Ludwisia.

Weź moje. (oddaje jéj ćwiartkę cienkiego papieru).

Helenka.

A ty?

Ludwisia.

Ja, ja mam drugie takie same; chciałam lepiéj napisać, i dla tego jeszcze raz skopiowałam, ale teraz oddam tamte pannie Karcickiéj.

Helenka
(ociera oczy).

Ah! jakaś ty dobra! (całuje Ludwisię).

SCENA V.

CIŻ SAMI I PANNA KARCICKA.

Panna Karcicka.

Ludwisiu! Helenko! mama jedzie, gdzież wasze roboty? gdzie wiersze?

Helenka
(oddaje papier i robotę).

Oto moje.

Ludwisia
(robotę oddając).

A to moja robota.

Panna Karcicka.

A wiersze?

Ludwisia.

Nie przepisałam je, i przepraszam.

Panna Kercicka.

O! to nie dosyć, moja Ludwisiu, powiedzieć nie przepisałam i przepraszam. Miałaś dosyć czasu, i lenistwo twoje nie do darowania. Żal mi bardzo, że ci przykrość wyrządzę, ale muszę dotrzymać słowa, i naganę odbierzesz w obecności twojéj ciotki, a drugiéj matki. Zasmuci się jéj serce bez wątpienia, widzę, że w dzień przybycia jéj do domu, nie starałaś się być pilną.

(Ludwisia spuszcza oczy).

Helenka.

O! nie! ja tego nie ścierpię, aby Ludwisia miała być oskarżona niewinnie. Panno Karcicka! to nie moja praca, to

piękne przepisanie wierszy jest robotą Ludwisi.

Ludwisia.

Helenko! co mówisz? Proszę jéj nie wierzyć, to nie moje pismo.

Panna Karcicka.

Która z was prawdę mówi? Moje dzieci! widzę, że szlachetne uczucie, to jest dobroć serca i czułość, pobudzają jednę z was, do poświęcenia się dla drugiéj. I to bardzo pięknie, ale prawda jest tak świętą powinnością, tak przedewszystkiém ukochaną od Boga cnotą, że kto wie, czy nawet w szlachetnym celu, godzi się skłamać? pomyślcie nad tém moje dziewczynki.

Helenka.

Ja prawdę mówię, Ludwisia chcąc się dla mnie poświęcić, oddała mi swoją pracę.

Panna Karcicka.

Ludwisiu! milczysz? Więc prawdę Helenka powiedziała?

Ludwisia
(spuszcza głowę i milczy).

Panna Karcicka.

Helenko! przebaczam ci twoją opieszałość, bo ten błąd zmywa twoją szczerość. Prawda, najczarniejszą plamę zmyje. Ludwisiu, ty okazałaś dobroć serca i czułość, ale moje dziecię, pamiętaj, że te zalety nie są dostatecznemi. Trzeba dołączyć do nich to przekonanie, że złych środków, nawet w dobrym celu używać nie można. Prawda jest towarzyszką szczęścia, bez prawdy nie ma cnoty. A teraz, chodźcie moje dzieci, będę miała przyjemność powiedzieć mamie, że każda z was, odznaczyła się jedną zaletą, jednym przymiotem. Helenka, szczerością i prawdą, Ludwi-

sia, czułością i dobrocią serca. O błędach waszych zamilczę, w nadziei poprawy, którą zapewnie mi przyrzekacie?

Ludwisia i Helenka.

O tak! o tak! (rzucają się w objęcia pani Karcickiéj).

SCENA XI.

CIŻ SAMI, PANI PIERNIKOWSKA I ANTOŚ.

Pani Piernikowska.

Dobrze, że się razem zbieramy, aby przyjąć panią naszą.

Panna Karcicka.

Uraduje się, widząc dzieci zdrowe i grzeczne. Będę miała przyjemność wystąpić z pochwałą dla moich uczennic.

Pani Piernikowska.

A ja dla mego Antolka.

Antoś

A ja dla pani Piernikowskiéj.

Pani Piernikowska.

Oh! ty, ty, aniołku śliczny.

Antoś

(zajadając gruszkę).

I powiem mamie, że nie ma na świecie lepszéj kobiety, jak pani Piernikowska.

Pani Piernikowska

(płacze).

Jak mnie to dziecko kocha! (daje mu jabłuszko). Na masz jabłuszko.

Antoś

(bierze jabłuszko i zajada je).

I powiem, że jak urosnę, to się z panią Piernikowską ożenię.

Pani Piernikowska.

Kiedy ja dla ciebie za stara będę, mój robaczku. Już tybyś nie chciał takiéj staréj i brzydkiéj.

Antoś.

O nie! pani Piernikowska, najpiękniéjsza i najmłodsza w świecie.

Pani Piernikowska.

Co to za rozumne dziecko! (całuje go).

Antoś.

I powiem mamie, że ja panią Piernikowską kocham, jak cały piec!

Pani Piernikowska.

Jak on mnie rozczula, (płacze) hi, hi, hi.

Panna Karcicka.

Nic dziwnego, że panią kocha, pieścisz go więcéj jak potrzeba, i dajesz mu bez przestanku jakąś łakotkę.

Pani Piernikowska.

Kiedy, bo to rzadkie dziecko, czysty portret ojca. (ociera oczy).

KONIEC.

BIBLIOTEKA NARODOWA

L3095.

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
481936

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001017623870